

Już dziś specjalny dodatek **MISTRZOWIE AGRO**

● A w nim prezentujemy laureatów we wszystkich kategoriach

dziś SPORTOWY24

POLSKA

METROPOLIA WARSZAWSKA



Poniedziałek, 23.03.2026
Nr 24 (2535)

Cena
6,00 zł (w tym 8% VAT)

Informacje z Kraju i ze Świata
www.i.pl

NR ISSN 1898-3081
NR INDEKSU 349-682



POLITYKA

Prezydent Nawrocki podróżuje, premier Tusk ostrzega

Ten tydzień będzie dla prezydenta Nawrockiego tygodniem podróży. W poniedziałek, Karol Nawrocki ma pojawić się w Budapeszcie. Wizyta ma być oficjalna, a jej celem, jak piszą węgierskie media, będzie wsparcie kampanii wyborczej Viktora Orbana oraz zacieśnienie więzi między politykami. Na 12 kwietnia zaplanowane są na Węgrzech wybory parlamentarne.

Tymczasem amerykański dziennik „The Washington Post” poinformował, że minister spraw zagranicznych Węgier Peter Szijjarto regularnie dzwonił do Rosji w przerwach między spotkaniami na forum Unii Europejskiej, aby przekazywać swojemu rosyjskiemu odpowiednikowi Siergiejowi Ławrowowi relacje na żywo z prowadzonych rozmów.

„Wiadomość, że ludzie Orbana informują Moskwę o posiedzeniach Rady UE ze szczegółami, nie powinna nikogo dziwić. Od dawna mamy co do tego podejrzenia. To jeden z powodów, dla których zabieram głos tylko wtedy, gdy jest to absolutnie konieczne i mówię tylko tyle, ile potrzeba” - napisał na platformie X Donald Tusk.
STR. 4



FOT. PAP/EP/A

Donald Trump stawia Iranowi ultimatum

Czy Stany Zjednoczone planują operację lądową na Bliskim Wschodzie? Iran ma 48 godzin, by odblokować ruch statków w Cieśninie Ormuz

STR. 5

SPOŁECZEŃSTWO

Przełomowy wyrok NSA ws. małżeństw jednopłciowych

STR. 3

LUDZIE

Egzoszkielec dał mi nadzieję – mówi Ewa Kalisz

STR. 6-7

WYWIAD

Rafał Maćkowiak: Inaczej wyobrażałem sobie pracę na planie

STR. 12-13

PRZYRODA

Rechtot słycać coraz rzadziej. Zaby znikają z pól i łąk

STR. 14

W piątek magazyn Puls

● Ludzie Viktora Orbana mieli informować Moskwę o przebiegu posiedzeń rady Unii Europejskiej. Czy będą konsekwencje?

Zamów prenumeratę

Polska Metropolia Warszawa ☎ 12 312 53 88
prenumerata@polskapress.pl
prenumerata.polskatimes.pl

Marek Mazurkiewicz
publicysta



KAMPANIJNY SYNDROM MAMONIA

„Nie się podobają melodie, które już raz słyszałem”. Starsi czytelnicy zapewne bezbłędnie rozszyfrują, z jakiej kulturowej polskiej komedii pochodzi ten cytat. Inżynier Mamonia, z filmu „Rejs”, grany przez Zdzisława Maklakiewicza, siłą się na intelektualizm, wyjaśnia, że nowe piosenki mu się nie podobają, bo ich nie zna, a stare lubi dlatego, że już je słyszał. Absurdalne uzasadnienie niechęci do nowości muzycznych obnaża jednak dość wąskie umysłowe horyzonty Mamonia.

Twórcy „Rejsu” w tej scenie nie tyle odnieśli się do polskich upodobań muzycznych początku lat 70. ubiegłego wieku, co wykpiłi ówczesną rzeczywistość, o której mówiono, że była „dyktaturą ciemniaków”.

„Rejs” do dziś pozostaje kopalnią cytatów, które przeniknęły do języka codziennego, ale ponad pół wieku temu był jedną z form „odtrutki” na lejącą się zewsząd propagandę i kłamstwa tworzone przez komunistyczny aparat władzy. Władza, by skrywać własne niedomagania, kreowała tematy zastępcze albo winiła za nie zewnętrznych wrogów. W tej czasami topornej maszynie propagandowej centralne miejsce zajmowała niechęć do wszystkiego, co niemieckie. Niemcami i zagrożeniem III wojny światowej straszono w radiu, prasie i telewizji; w filmach Niemców przedstawiano jako łotrów albo fajtlapów, którym łatwo zagrać na nosie.

O ile ponad pół wieku temu antyniemieckość wynikała z zimnowojennej wrogości, w której Niemcy i Polska były po dwóch stronach barykady, o tyle współcześnie kreowanie Niemiec jako wroga i zagrożenia nie ma jakiegokolwiek uzasadnienia.

Mimo to po raz kolejny spin doktorzy PiS uznali, że najlepszą receptą na mobilizację elektoratu i odzyskanie sympatyków, którym teraz bliżej do Konfederacji, jest puszczenie melodii, którą ich wyborcy już wielokrotnie słyszeli - że Polsce zagraża... Berlin i Bruksela. Melodię tę podchwycił też Pałac Prezydencki, czyniąc z niej element argumentacji weta pod ustawą ws. SAFE.

Wzorem Mamonia należałoby ten pomysł skwitować krótko: „po prostu dłużyzna”.

”

Wiadomość, że ludzie Orbana informują Moskwę o posiedzeniach Rady UE ze szczegółami nie powinna nikogo dziwić. Od dawna mamy co do tego podejrzenia

Premier Donald Tusk na platformie X

IRAN. „CHCIEĆ TO MÓC” NIE MA TU ZASTOSOWANIA

Żaden kraj, w którym interweniowali Amerykanie [poza Europą dwu wojen światowych] nie przypominał Iranu. To ponad 90 milionów ludzi, 9 miast z liczbą mieszkańców przekraczającą milion, a Teheran - 10 milionów.

Iran jest krajem poetów i matematyków. Ma wysoki poziom skolaryzacji i szkolnictwo techniczne na wysokim poziomie. Od 1976 funkcjonuje SAM-PAD, inaczej NODET, czyli National Organization for Development of Exceptional Talents. To system szkół dla dzieci nieprzeciętnie zdolnych. Nauka jest bezpłatna, jednak trzeba zdać skomplikowany egzamin wstępny, w którym kryterium oceny nie jest poziom wiedzy, tylko zdolność dziecka do logicznego a zarazem abstrakcyjnego myślenia. Często na jedno miejsce przypada kilka tysięcy kandydatów.

Przyjęli inną logikę, niż my: wspierają najzdolniejszych.

Taką właśnie szkołę skończyła genialna Maryam Mirzakhani, pierwsza kobieta, która otrzymała matematycznego

Liliana Sonik
publicystka



Nobla - medal Fieldsa (2014). Jako nastolatka zdobywała złote medale na międzynarodowych olimpiadach matematycznych. Zresztą uczniowie z Iranu regularnie zdobywają najwyższe lokaty w tych olimpiadach, bo szkolnictwo matematyczne jest oczkiem w głowie systemu edukacji.

Towarzyszy temu prestiż, jakim otoczone są studia techniczne: każdego roku Iran produkuje ok. 200 tys. inżynierów. I tu niespodzianka: ponad 60% absolwentów nauk ścisłych, zwłaszcza inżynierii (STEM) to kobiety.

Firouzeh Nahavandi, Iranka i profesor socjologii na brukselskim uniwersytecie, uważa, że styczniowe masakry, w których władze zamordowały ponad 30 tys. własnych obywateli, to symptom „nieodwracalnego zerwania więzi między społec-

zeństwem a Państwem Islamskim”.

Można w Iranie wyróżnić 4 główne grupy społeczne - kontynuuje Navahandi: klasę średnią, która zanika pod wpływem kryzysu gospodarczego; bardzo dużą liczbę wykształconych młodych ludzi, których ambicje zderzają się ze ścianą; biedniejszą klasę ludową; oraz elitę polityczno-religijną, która zmonopolizowała zasoby, stanowiska i bogactwo i będzie walczyć do końca, aby je zachować.

Amerykańska interwencja była więc wyczekiwana przez wielu, być może nawet przez większość Irańczyków. A jednak po śmierci Chameneiego nie doszło do masowych protestów przeciw władzy. Komentatorom zniecierpliwionym rzekomą apatią Persów, radzę przypomnieć sobie rok 1986 i 1987 w Polsce. Między

nastrojami społecznymi a ich jawną manifestacją rozciąga się szeroka przestrzeń lęków, poczucia fizycznego zagrożenia i niepewności. Nie sądzę, by eliminowanie przywódców wojskowych i politycznych Iranu było aktem prostej zemsty; ich śmierć ma przede wszystkim pokazać Irańczykom, że to jest możliwe, że da się zrobić... Celem Izraela jest anihilacja zdolności militarnych Iranu. Natomiast Waszyngton od lat obserwuje, jak Teheran sprzymierza się w każdym, kto może Amerykę osłabić. Dostawy Shahedów do Rosji są tego przykładem. Władze Iranu od 40 lat skandują: „śmierć Ameryce”.

Stany Zjednoczone są ‘wielkim szatanem’. Nie brak zatem racji strategicznych i politycznych uzasadniających amerykańskie dążenia do obalenia irańskiego reżimu. A jednak powiedzenie „chcieć to móc” nie ma tu zastosowania. Dla państw niewielkich w sytuacji zagrożenia, dewiza ta może być mobilizująca, z wielu powodów powinny się jej wystrzegać mocarstwa.

SEKTY, SZATAN, METALOWCY

W latach 90. byłem chłopcem z dobrego domu, więc musiałem być grzeczny. Nie było mi dane dołączyć do żadnej grupy po szkole, miałem wracać do domu i ćwiczyć na znienawidzonych skrzypcach. Co tydzień natomiast dowiadywałem się podczas homilii o przeróżnych zagrożeniach, które się na mnie czają. Katolicy duchowni byli szczególnie przerażeni nową rzeczywistością, która mogła na wolnym rynku stworzyć im groźną konkurencję.

Po pierwsze - satanic panic. Nikt nigdy satanistów nie widział, słyszeli natomiast wszyscy. Nie było tygodnia, żeby ktoś w lesie nie znalazł podobno satanistycznych ołtarzy, na których bez wątpie-

Tadeusz Płatek
publicysta



nia dokonywano rytualnych mordów, może nie od razu dzieci, ale na pewno czarnych kotów. Kocięta w tym kolorze miały przerabane. Będąc nieświadomym symbolem diabła, same miały być dla siebie ofiarą, co oczywiście żadnego sensu nie miało. Uwodzicielska była wszelako cała satanistyczna dekoracja - pentagramy, trzy szóstki i muzyka metalowa, co do której nikt nie miał wątpliwości, że pochodzi i od wieków rozbrzmiewa w piekle, dźwiękowo przedstawianym jako

miejsce nie tylko gorące, ale i dość nerwowe. Był nawet taki żart: „Dlaczego gitarzyści zespołów metalowych tak szybko grają? Bo gdzie się człowiek spieszy, tam się diabeł cieszy”.

Po drugie - sekty. Krajobraz paniki moralnej uzupełniały bliżej nieokreślone zorganizowane grupy, wyglądające mniej lub bardziej groźnie. Lekcje religii były w latach 90. seansem strachu, opisującym jak sekciarze podstępnie kuszą, a następnie zniewalają i Bóg wie, co jeszcze robią

z dziećmi. Kuszenie - ostrzeżono - mogło przy tym wyglądać z pozoru niewinnie, jak granie na bębnie, degustacja darmowych potraw wegetariańskich, czy śpiewanie hare krysna, hare rama. Bez wątplenia prowadziło to wprost do piekielnego kotła, gdzie - jak już ustaliliśmy - muzyczka była bardziej nerwowa. Jeden z moich wyświeconych katechetów tak się zagalopował, że zaczął opowiadać, jak sekciarze porywają młodzież w drodze do szkoły czarną wołgą (takim ruskim ubeckim samochodem). Dwa systemy polityczne mu się pokićkały, ale efekt był niezły, bo przez tydzień cała klasa bała się wychodzić do domu. A zwłaszcza do szkoły.

Ciąg dalszy nastąpi.

Przełomowa decyzja NSA ws. małżeństw jednopłciowych

Naczelny Sąd Administracyjny orzekł o wpisaniu do polskiego rejestru małżeństwa jednopłciowego zawartego za granicą. PiS zapowiada wniosek do TK

Karolina Wrońska

Naczelny Sąd Administracyjny zobowiązał urząd stanu cywilnego do wpisania do polskiego rejestru małżeństwa jednopłciowego zawartego za granicą. NSA uchylił tym samym orzeczenie stołecznego sądu administracyjnego oraz wcześniejszą decyzję. Jednocześnie zobowiązał kierownika stołecznego urzędu stanu cywilnego do przeniesienia do polskiego rejestru takiego aktu małżeństwa.

Sprawa dotyczyła małżeństwa dwóch Polaków zawartego legalnie w 2018 r. w Berlinie. Para postanowiła przenieść się do Polski. Mężczyźni złożyli wniosek o transkrypcję niemieckiego aktu małżeństwa do polskiego rejestru stanu cywilnego; spotkali się jednak z odmową. Sprawa trafiła wówczas do sądów administracyjnych. Piątkowe orzeczenie zapadło po zeszłorocznym wyroku Trybunału

Sprawiedliwości UE, który w związku z tą sprawą odpowiedział na pytanie NSA.

W uzasadnieniu wyroku NSA przywołał art. 18 polskiej konstytucji stanowiący, że „małżeństwo jako związek kobiety i mężczyzny, rodzina, macierzyństwo i rodzicielstwo znajdują się pod ochroną i opieką Rzeczypospolitej Polskiej”. Sędzia NSA Leszek Kiermaszek tłumaczył, że przepis polskiej konstytucji stanowi, że „tak rozumiana instytucja małżeństwa znajduje się pod specjalną pieczęcią i ochroną RP - podobnie jak rodzina i macierzyństwo”. - Z przepisu tego nie da się jednak wygenerować tezy, że - po pierwsze - zakazuje uznania innych związków pomiędzy dwiema osobami niezależnie od płci, a - po drugie - że tym innym związkom nie należy się żaden poziom ochrony - podkreślił sędzia.

Orzeczenie, jako „przełomowe”, określił szef MS Waldemar Żurek. - Widzieliśmy też reakcje osób, które przyjmują ten wyrok z taką nadzieją, że będą



FOT. JAKUB STEINBORN

Sprawa dotyczyła małżeństwa dwóch Polaków zawartego legalnie w 2018 r. w Berlinie

mogli żyć normalnie, bo chyba do takiej normalności powinniśmy zmierzać - dodał.

Także wiceszef MS Dariusz Mazur zaznaczył, że „wbrew powtarzanym od kilku godzin fra-

zesom” orzeczenie NSA nie jest niezgodne z konstytucją. „Artykuł 18 Konstytucji RP mówi jedynie, że Rzeczpospolita obejmuje ochroną i opieką małżeństwo mężczyzny i kobiety. Nie ozna-

cza to, że podlegające prawnej ochronie związki jednopłciowe są zabronione, a jedynie to, że uchwalona w 1997 r. konstytucja nie przyznaje im szczególnej ochrony” - napisał na platformie X Mazur.

Szef klubu PiS Mariusz Błaszczak zapowiedział już jednak wniosek do Trybunału Konstytucyjnego ws. dokonanej przez NSA interpretacji art. 18 konstytucji. Wiceprezes PiS Przemysław Czarnek stwierdził zaś, że „nie da się zarejestrować czegoś, czego nie ma”. - To jest bezprawie. To jest łamanie praworządności, gwałt na rozumie - powiedział Czarnek. Były premier PiS Mateusz Morawiecki ocenił natomiast, że „jest to kolejne bezprawne działanie po stronie sądziokracji”.

Jak zastrzegła pełnomocniczka rządu ds. równości Katarzyna Kotuła, wyrok NSA to krok w kierunku pełnej równości, ale nie oznacza on zmiany definicji małżeństwa w polskim prawie. - To nie jest zmiana systemowa. To nie znaczy, że do polskiego

prawa wprowadzamy małżeństwa jednopłciowe - tłumaczyła w piątek Kotuła.

Z kolei wicepremier, minister cyfryzacji i wiceszef Nowej Lewicy Krzysztof Gawkowski ocenił, że decyzja sądu potwierdziła, iż „tęczowe rodziny są równe wobec prawa”. Minister rodziny, pracy i polityki społecznej Agnieszka Dziemianowicz-Bąk napisała zaś, że „miłość nie zna granic, a związki zawarte w jednym kraju nie przestają istnieć w momencie przekraczania granicy”.

Pod koniec grudnia ub.r. rząd przyjął projekt ustawy o statusie osoby najbliższej w związku i umowie o wspólnym pożyciu. Projekt zakłada, że dwie osoby pełnoletnie będą mogły zawrzeć umowę w notariusza, która - rejestrowana w USC - umożliwi stronom m.in. wybór ustroju majątkowego, ustanowienie obowiązku alimentacyjnego. W lutym br. odbyło się w Sejmie pierwsze czytanie projektu rządowego wraz z projektem przepisów wprowadzających. PAP

MATERIAL INFORMACYJNY ORLEN

0011497103

ORLEN szuka stażystów i praktykantów. Ruszyła rekrutacja

Program stażowy oraz płatne praktyki w ORLENIE to doskonała okazja dla studentów i absolwentów, by zdobyć pierwsze doświadczenie zawodowe, pracować przy realnych projektach i rozwijać się pod okiem ekspertów. Dla wielu młodych osób to początek zawodowej drogi - szansa na sprawdzenie wiedzy w praktyce i poznanie organizacji „od środka”. Sprawdź, jak wziąć udział w rekrutacji.

Staż „Kierunek ORLEN”

„Kierunek ORLEN” to sześć miesięcy intensywnego rozwoju i udziału w różnorodnych projektach biznesowych realizowanych w ORLENIE. **O staż mogą ubiegać się studenci ostatnich lat studiów, absolwenci, a także osoby myślące o zmianie ścieżki zawodowej.**

Poszukiwani są kandydaci, którzy potrafią przełożyć wiedzę akademicką na praktykę biznesową i aktywnie szukają nowych rozwiązań. ORLEN oferuje ponad 75 staży w 12 miastach. Możliwości rozwoju zapewniają zarówno struktury firmy, jak i 16 spółek z Grupy ORLEN, m.in.: ORLEN Neptun, ORLEN Aviation, ORLEN Południe, ORLEN EKO, ORLEN Laboratorium, ORLEN Paliwa, ORLEN CUK oraz ORLEN Serwis.

Płatne wakacyjne praktyki w ORLENIE

„Program Płatnych Praktyk” to trzymiesięczna, wakacyjna propozycja zdobycia doświadczenia w obszarze

produkcji oraz w Centrum Badawczo-Rozwojowym ORLENU w Płocku.

W ramach praktyk uczestnikom powierzone zostaną zadania techniczne w realnych warunkach produkcyjnych. **O możliwość odbycia praktyki mogą starać się studenci ostatnich lat i absolwenci kierunków technicznych lub inżynierskich.**

Warto podkreślić, że zarówno stażyści, jak i praktykanci, będą wspierani przez indywidualnych opiekunów. **Za realizację staży i praktyk studentom oraz absolwentom wypłacane będzie comiesięczne wynagrodzenie.**

Od staży i praktyk po kolejne szczeble kariery

- Na co dzień pracuję zmianowo, więc początkowo praktyki, a teraz moja praca na stanowisku Młodszy Operator Procesów Produkcyjnych, dały mi możliwość połączenia kariery ze studiami dziennymi i to w innym mieście - mówi Wiktor Bruchajzer, który zaczął swoją



przygodę w ORLENIE od Programu Płatnych Praktyk. - Przez pół roku byłam stażystką w Dziale ds. Technologii i Jakości Gazu w spółce ORLEN Paliwa. Analizowałam jakość gazu LPG - na każdym etapie łańcucha logistycznego. Dziś pracuję w Centrum Modelowania i Analiz Technologicznych w ORLENIE.

Zajmuję się analizami, które pomagają usprawnić pracę instalacji - od strony technologii i biznesu. Staż dał mi też coś bardzo ważnego - przestrzeń do sprawdzenia siebie i świadomego wyboru dalszej drogi - mówi Natalia Wilczyńska, która swoją ścieżkę kariery rozpoczęła od programu stażowego Kierunek ORLEN.

Dlaczego warto zdecydować się na staż lub praktyki w ORLENIE?

Staż to niepowtarzalna szansa na realizację ciekawych zadań biznesowych, szkolenia merytoryczne oraz te wzmacniające kompetencje miękkie. Niepodważalnym atutem staży w ORLENIE jest dostęp do specjalistycz-

nej wiedzy, zaawansowanych technologii oraz pracy przy innowacyjnych projektach, często niedostępnych w innych firmach.

Kolejnym ważnym aspektem programu „Kierunek ORLEN” jest wspólna integracja w ramach społeczności ambasadorskiej. Staże to najlepsza droga do kontynuacji swojej kariery zawodowej w ORLENIE. **Jak pokazują statystyki, 70% stażystów-absolwentów każdego roku podejmuje pracę w ORLENIE i Spółkach Grupy.**

Jak się zgłosić?

Zainteresowani stażami w ramach Kierunku ORLEN mogą aplikować na kilka wybranych ogłoszeń, wysyłając CV oraz rozwiązanie zadania rekrutacyjnego.

W Programie Płatnych Praktyk wymagane jest wyłączenie CV. Aplikowanie jest bardzo proste, wystarczy wejść na stronę orlen.pl/kariera. Rekrutacja do obu programów trwa do 19 kwietnia.

PREZYDENT PODRÓŻUJE, PREMIER OSTRZEGA

Karol Nawrocki będzie w tym tygodniu w Budapeszcie, poleci też do Stanów Zjednoczonych. Czy spotka się z Donaldem Trumpem, nie wiadomo. Wiadomo, że przed planowanymi podróżami zmienił zdanie i wyraził zgodę na mianowanie na pierwszy stopień oficerski 78 żołnierzy i funkcjonariuszy Służby Kontrwywiadu Wojskowego

Dorota Kowalska

Ten tydzień będzie dla prezydenta Nawrockiego tygodniem podróży. W poniedziałek, Karol Nawrocki ma pojawić się w Budapeszcie. Pierwszy poinformował o tym dziennikarz serwisu VSquare Project, Szabolcs Panyi. Napisał, że 23 marca, po obchodach Dnia Przyjaźni Polsko-Węgierskiej w Przemysłu z udziałem prezydenta Węgier Tamása Sulyoka, Karol Nawrocki uda się w krótką podróż do Budapesztu. Tam spotka się z premierem Viktorom Orbánem. Wizyta ma być oficjalna, a jej celem, jak pisze serwis, będzie wsparcie kampanii wyborczej Orbana oraz zacieśnienie więzi między politykami po tym, jak do skutku nie doszła zaplanowana na 4 grudnia ubiegłego roku podróż polskiego przywódcy na Węgry. Przypomnijmy, że wtedy Nawrocki zrezygnował ze spotkania z powodu wcześniejszej wizyty premiera Orbana w Moskwie.

Portal zwracał uwagę, że moment wizyty na Węgrzech jest niefortunny dla Nawrockiego. 23 marca w Budapeszcie odbywać się będzie „Wielkie Zgromadzenie” prawicowego sojuszu Patriots for Europe, w którym udział zapowiedzieli określeni przez serwis jako „prokremlowscy politycy” - Matteo Salvini z Włoch i Marine Le Pen z Francji.

„Udział prezydenta Nawrockiego w budapesztańskim spotkaniu prorosyjskich i eurosceptycznych polityków to fatalny błąd i potwierdzenie groźnej strategii osłabiania Unii Europejskiej i wzmocnienia Putina” - napisał w sobotę w serwisie X premier Donald Tusk. Na odpowiedź opozycji Donald Tusk nie czekał długo.

„Mocne słowa w ustach człowieka, który przez lata robił reset z Rosją i oddał im badanie Katastrofy Smoleńskiej. Antyrosyjskość od Pana Prezydenta mógłbyś się uczyć, człowieku bez poglądów poza jednym: robić tak, jak wymyślił w Berlinie” - wskazał Mateusz Morawiecki.



Moment wizyty Karola Nawrockiego na Węgrzech jest rzeczywiście szczególnie i to nie tylko z powodu „Wielkiego Zgromadzenia”

Zareagował też Marcin Przydacz, szef prezydenckiego Biura Polityki Międzynarodowej.

„Prezydent Nawrocki nie planuje udziału w żadnym tego typu spotkaniu. W poniedziałek odbywają się Dni Przyjaźni Polsko-Węgierskiej, w związku z czym w Przemysłu dojdzie do spotkania prezydentów Polski oraz Węgier. Następnie wieczorem do kontynuacji rozmów pomiędzy prezydentami Nawrockim i Sulyokiem w Budapeszcie oraz do spotkania z premierem Węgier. Usun twitta, a najlepiej konto” - napisał w serwisie X. „Gdyby Donald Tusk nie kłamał, nie byłbym Donaldem Tuskiem” - dodał Przydacz.

Moment wizyty Karola Nawrockiego na Węgrzech jest rzeczywiście szczególnie i to nie tylko z powodu „Wielkiego Zgromadzenia”. Na 12 kwietnia zaplanowane są na Węgrzech wybory parlamentarne, które budzą coraz większe emocje tak wśród polityków, jak i obywateli. Może dlatego, że Viktor

Orban po raz pierwszy od wielu lat może czuć się zagrożony.

Większość ostatnich sondaży pokazuje, że opozycyjna partia TISZA kierowana przez byłego członka rządu Petera Magyara utrzymuje przewagę nad rządzącym Fideszem. I tak, według ostatniego badania sondażowni Minerva na partię TISZA chce głosować 51,3 proc. wyborców, zdecydowanych na wzięcie udziału w wyborach. W tej samej grupie badanych rządzący Fidesz popiera 40,1 proc. Próg wyborczy osiąga jeszcze jedynie partia Mi Hazánk, na którą chce oddać głos 5,5 proc. badanych.

Analitycy z tejże sondażowni wskazują, że niezadowolone społeczne na Węgrzech ma obecnie charakter strukturalny i trwałe. 57,9 proc. respondentów uważa, że kierunek, w którym zmierza kraj, jest zły, 40,1 proc. dostrzega pogorszenie sytuacji materialnej gospodarstw domowych, w porównaniu z 24,6 proc. wskazujących na poprawę, podczas gdy 46,4 proc. wierzy w poprawę nastrojów społecznych

w wyniku zwycięstwa partii TISZA Petera Magyara.

Najwyraźniejsza linia podziału politycznego przebiega między pokoleniami: większość młodych ludzi (65,2 proc.) popiera partię TISZA, natomiast osoby starsze (53,8 proc.) raczej popierają Fidesz. Podział według kryterium miejsko-wiejskiego oraz poziomu wykształcenia pozostaje stabilny: TISZA ma silniejszą pozycję w miastach, podczas gdy Fidesz dominuje na wsi. Wśród osób z wyższym wykształceniem przeważa TISZA (60,1 proc.), natomiast wśród osób z niższym wykształceniem prowadzi Fidesz (58 proc.). 82,1 proc. badanych zdecydowanie zamierza wziąć udział w wyborach.

Instytut Minerva jest uważany przez zwolenników Viktora Orbana za ośrodek badawczy sprzyjający opozycji. Te, którym zarzuca się prorządowe sympatie, pokazują zwycięstwo Fideszu. Chociażby najnowszy sondaż Instytutu Nezapont daje par-

tii rządzącej 46 proc., a TISZY 40 proc. poparcia.

Po Budapeszcie przyjdzie czas na Stany Zjednoczone. W piątek prezydent Nawrocki wylatuje do Dallas w Teksasie.

- W sobotę odwiedzi fabrykę samolotów F-35, tych samolotów, na których już dzisiaj szkolą się polscy piloci i które niebawem trafią na wyposażenie polskiej armii. Zatem ta współpraca wojskowa będzie jednym z powodów tej wizyty - wyjaśnił Marcin Przydacz z Kancelarii Prezydenta.

Przydacz dodał, że Nawrocki będzie także gościem specjalnym na kongresie CPAC (Conservative Political Action Conference). Ten rozpocznie się w środę i potrwa do soboty. Odbędzie się w centrum konferencyjnym w Grapevine w Teksasie. Wśród zapowiadanych mówców są m.in. była premierka Wielkiej Brytanii Liz Truss, były szef kampanii wyborczej i doradca prezydenta Donalda Trumpa Steve Bannon, Reza Pahlawi (najstarszy syn ostatniego szacha Iranu Mohammada Rezy Pahlawiego).

- Został pan prezydent nie tylko zaproszony do udziału w konferencji, ale też do wygłoszenia przemówienia. Prezydent Nawrocki będzie mówił o stanie relacji polsko-amerykańskich, a także o historii relacji polsko-amerykańskich w roku 250. rocznicy Deklaracji Niepodległości. Będzie przypominał o wspólnych polsko-amerykańskich bohaterach, ale też o wartościach, które nas łączą - przekazał prezydencki minister.

I podkreślił, że na konferencji dojdzie do wielu spotkań, ale na tym etapie nie są potwierdzone żadne na najwyższym szczeblu. Nie wiadomo też, czy w konferencji weźmie udział prezydent USA Donald Trump. Przydacz przekazał, że w niedzielę prezydent Nawrocki spotka się też z Polakami mieszkającymi w Dallas i okolicach, w trakcie wizyty będą też prowadzone rozmowy na tematy gospodarcze.

Do ostatniego spotkania Karola Nawrockiego i Donalda

Trumpa doszło w styczniu w trakcie Forum Ekonomicznego w Davos w Szwajcarii.

„Rozmowy dotyczyły przede wszystkim kwestii bezpieczeństwa, w tym potwierdzenia gwarancji bezpieczeństwa dla Polski i obecności żołnierzy amerykańskich w naszym państwie. Prezydenci Polski i Stanów Zjednoczonych dyskutowali również o sytuacji ekonomicznej i przygotowaniach do szczytu grupy G20, który odbędzie się w grudniu w Miami” - informowała wówczas Kancelaria Prezydenta RP.

Zostając przy prezydencie Nawrockim, ten przed planowanymi podróżami do Budapesztu i Stanów Zjednoczonych, zmienił zdanie i podpisał nominacje oficerskie. W każdym razie w piątek Biuro Bezpieczeństwa Narodowego poinformowało, że Karol Nawrocki, na wniosek ministra obrony narodowej, wyraził zgodę na mianowanie na pierwszy stopień oficerski 78 żołnierzy i funkcjonariuszy Służby Kontrwywiadu Wojskowego.

Spór o nominacje oficerskie toczył się od listopada zeszłego roku. Wówczas Karol Nawrocki odmówił awansu 136 funkcjonariuszom SKW i ABW. Swoją decyzję uzasadniał tym, że nie udzielono mu istotnych informacji dotyczących bezpieczeństwa państwa, a także odwołano jego spotkania z szefami służb. Zdaniem komentatorów sceny politycznej, Nawrocki próbuje ratować swój nadzarpnięty w wojsku wizerunek po tym, jak zawetował unijny program SAFE, ale też jego notowania w korpusie służb mundurowych mocno po tym wiece spadły.

„Cieszę się z funkcjonariuszami i żołnierzami SKW z długo oczekiwanych i bardzo zasłużonych awansów na pierwszy stopień oficerski” - napisał w serwisie X Tomasz Siemoniak, minister koordynator służb. Jednocześnie zaapelował o podpisanie nominacji funkcjonariuszy ABW.

„Nie wierzę w plotki, że dotychczasowy brak decyzji jest formą kary dla ABW. Przeciwnie SKW i jej szefowie byli jeszcze ostrzej krytykowani przez urzędników prezydenta niż ABW. A wątpliwości wyjaśniliśmy 15 stycznia tego roku na spotkaniu prezydenta z szefami służb. Stosowne działania prowadzi też prokuratura, o czym informowałem wtedy prezydenta” - wskazał Siemoniak. „Oddzielmy nominacje oficerskie od walki politycznej, naprawdę nie ma tu nikt zysku. Skutkiem jest paraliżowanie służby, zawieszenie szkoleń następnych kandydatów i zniechęcanie zainteresowanych do służby. Traci Polska i jej bezpieczeństwo” - dodał.

Cóż, że z tym oddzieleniem kwestii bezpieczeństwa kraju od polityki, może być kłopot, co pokazuje weto prezydenta w sprawie unijnego programu SAFE. PAP

Grzegorz Kuczyński

Ultimatum Trumpa dla Iranu. Daje 48 godzin

Stany Zjednoczone zniszczą irańskie elektrownie, jeśli cieśnina Ormuz nie zostanie całkowicie otwarta w ciągu 48 godzin – ostrzegł w sobotę wieczorem czasu miejscowego prezydent USA Donald Trump. Stany Zjednoczone postanowiły przyspieszyć wysłanie okrętów desantowych i tysięcy żołnierzy piechoty morskiej na Bliski Wschód - poinformowały amerykańskie media, powołując się na dobrze poinformowane źródła

Jeśli Iran nie OTWORZY CAŁKOWICIE, BEZ ŻADNYCH GROźB, cieśniny Ormuz w ciągu 48 GODZIN od dokładnie tej chwili, Stany Zjednoczone Ameryki zniszczą jego różne ELEKTROWNIE, ZACZYNAJĄC OD NAJWIĘKSZEJ!" - napisał Trump na swoim portalu Truth Social. Z jego wpisu wynika, że jego czas ultimatum upłynie w tuż przed 1 w nocy czasu polskiego z poniedziałku na wtorek.

W odpowiedzi na wpis Trumpa, irańskie władze zapowiedziały, że jeśli USA spełnią groźby, Iran odpowie atakami na wszelkie obiekty infrastruktury energetycznej, informatycznej i odsalarki należące do USA i Izraela w regionie.

Trump grozi kolejny raz

Trump już wielokrotnie wcześniej groził zniszczeniem irańskich elektrowni - w tym elektrowni jądrowej - twierdząc, że w ten sposób w ciągu godziny mógłby spowodować takie zniszczenia, że kraj nie byłby się w stanie z tego podnieść. Prezydent podkreślał jednak wówczas, że jest „miły” i tego nie robi.

Jest to kolejny zwrot prezydenta w sprawie cieśniny Ormuz. Jeszcze w piątek sugerował, że jest bardzo bliski osią-

gnięcia wszystkich swoich celów w Iranie, zapowiadając, że USA nie potrzebują cieśniny i odpowiedzialność za nią odda w ręce państw, które korzystają z ropy naftowej eksportowanej przez nią. Największą elektrownią w Iranie jest elektrownia gazowa w Demawendzie pod Teheranem, mająca moc ok. 2,8 tys. MW. Do największych zakładów należą również elektrownie wodne w prowincji Chuzestan. W Iranie działa też jedna elektrownia jądrowa, w Buszehrze, o mocy 1000 MW.

USA chcą odblokować Ormuz?

Według amerykańskich mediów 11. Ekspedycyjny Korpus Piechoty Morskiej, liczący co najmniej 2,2 tys. żołnierzy, wyruszy



Donald Trump wyznaczył ultimatum Iranowi: Macie odblokować Cieśninę Ormuz

z San Diego przed planowanym terminem - już w najbliższych dniach. Marines zostaną umieszczeni na pokładzie okrętu desantowego USS Boxer. Wraz z nim

w kierunku wybrzeży Iranu wyruszą jeszcze dwa okręty transportowo-desantowe - USS Portland i USS Comstock. Mają one przetransportować do miejsca

przeznaczenia myśliwce F-35, rakiety oraz sprzęt do desantu na ląd. Oczekuje się, że flotylla przepłynie przez region Indo-Pacyfiku na Bliski Wschód, gdzie

połączy się z okrętem desantowym USS Tripoli.

Później do operacji dołączy krążownik USS New Orleans oraz okręt-dok USS Rushmore. W rezultacie łączna liczba personelu, który zostanie przetransportowany do strefy konfliktu, może wynieść około 8 tys. żołnierzy, z czego do 5 tys. to marines.

Wśród rozważanych opcji znajdują się: desant na wybrzeżu Cieśniny Ormuz w celu zapewnienia bezpiecznego przepływu tankowców wysłanie oddziałów lądowych na wyspę Chark, przez którą przechodzi do 90% irańskiego eksportu ropy przejęcie posiadanych przez Iran zapasów wysoko wzbogaconego uranu.

W sumie amerykańskie siły na Bliskim Wschodzie liczą około 50 tys. żołnierzy.

REKLAMA

0011470603

1,5%

Pomóż, nie bądź obojętny!

KRS 0000154454

TOWARZYSTWO OPIEKI NAD ZWIERZĘTAMI W POLSCE
www.toz.pl

EWA KALISZ: JEŚLI SIĘ PODDAM, WYSIŁEK MOICH RODZICÓW PÓJDZIE NA MARNE

– Marzec to miesiąc świadomości MPD; 22 marca obchodzimy też Międzynarodowy Dzień Inwalidów i Osób Niepełnosprawnych. – W ostatnich latach walczyłam głównie o to, żeby nie było gorzej. Egzoszkielet dał mi nadzieję, że może być lepiej – mówi Ewa Kalisz, która żyje z czterokończynowym mózgowym porażeniem dziecięcym

Amita Czupryn

Zacznijmy od początku. Co Twoi rodzice mówili o twoim przyszłości na świat?

Za dużo o swoich narodzinach nie wiem, bo to do dziś jest dla naszej rodziny wydarzenie traumatyczne. Siedmiomiesięczny wcześniak w 1980 roku, z czterokończynowym mózgowym porażeniem dziecięcym – jakie miał szanse przeżycia? Średnie. Podobnie jak szanse na szybką diagnozę. Dopiero kiedy miałam dwa lata, usłyszano, co mi właściwie jest. Wcześniej lekarze powtarzali rodzicom: „To wcześniak, z czasem wyrówna, nadgoni”. Dziś znam dzieci, które są rehabilitowane już kilka tygodni po urodzeniu.

Ty już na samym starcie miałaś opóźnienie, jeśli chodzi o rehabilitację.

Tak. Ale kiedy rodzice już wiedzieli, co się dzieje, stawali na głowie. Załatwili operację ścięgna Achillesa, organizowali prywatną rehabilitację, co wtedy było właściwie ewenementem. To było w 1983 roku. Jestem jedyną osobą, którą znam, która nie narzeka, że źle zoperowano jej te ścięgna. U mnie to zostało od razu dobrze rozciągnięte i dzięki temu jakoś chodzę.

Od urodzenia żyjesz z bólem?

W dzieciństwie nie było jeszcze aż tak źle. Ale z wiekiem wszystko zaczęło się nasilać. Pierwsze epizody przewlekłego bólu pamiętam z końcówki podstawówki.

Jak było z chodzeniem?

Zacząłam chodzić po drugim roku życia. Mam dobrą pamięć do tych pierwszych lat życia. Pamiętam, jak zaczęłam sta-

wać pierwsze kroki, to nie umiałam się zatrzymać. Łąkowałam na regale albo na ścianie. Leciłam do przodu, na bieżnię.

Twoje dzieciństwo było inne niż rówieśników?

Rodzice się uparli i słusznie, że pójde do normalnej szkoły. Nie było wtedy szkół integracyjnych, nie było mowy o żadnym specjalnym trybie. Miałam normalną ścieżkę edukacyjną, normalne wymagania, zwłaszcza w klasach 1 – 3.

Młodość była podporządkowana rehabilitacji?

Nie. Oczywiście rehabilitacja była obecna, ale miałam też prawo do życia towarzyskiego. Rodzice o to zadbali. Robili za szoferów, wożąc mnie tu i tam, żebym miała koleżanki, kolegów, swoje życie. To też jest wielka rzecz, kiedy porównuję swoją historię z historiami innych osób. Mama i tata naprawdę podporządkowali mi całe swoje życie. To trzeba powiedzieć jasno.

Wiedziałas wtedy, że jesteś inna niż inne dzieci?

Najtrudniejsze były dla mnie klasy 1–3 i nauka pisania. Pewnie nauczyciele myśleli, że nie mogą traktować mnie inaczej niż reszty klasy, ale dziś uważam, że można było chociaż nie oceniać mnie za szlaczki wychodzące poza linię. Miałam przecież zwolnienie z WF-u. Nikt jednak na to nie wpadł. To było dla mnie trudne i upokarzające.

Pamiętasz moment, kiedy po raz pierwszy pomyślałaś, że ten świat jest urządzony bardziej dla innych niż dla ciebie?

Tak naprawdę zrozumiałam to wtedy, kiedy zobaczyłam, z jaką prędkością poruszają się inni ludzie. Ktoś idzie na przystanek półtorej minuty, a ja ponad dziesięć. W dodatku muszę po drodze odpocząć, a ktoś inny nie musi. I wtedy nagle widzisz, ile czasu jesteś do tyłu. Ile życia ci ucieka tylko dlatego, że wszystko kosztuje cię więcej wysiłku.

To, że dziś chodzisz, nazywasz cudem.

Bo przy takiej diagnozie niewiele osób chodzi. To jest efekt ciężkiej pracy – mojej i moich rodziców. Oni zrobili dla mnie naprawdę niesamowicie wiele.

Od kiedy chodzisz o kulach?

To nie są kule, tylko kiję trekkingowe. Różnica jest taka, że na kijkach nie opiera się całego ciężaru ciała i do chodzenia w większym stopniu „używane są” nogi a nie ręce jak w przypadku kul, więc takie rozwiązanie często osobom z MPD polecają fizjoterapeuci. O kijkach chodzę od 32 roku życia. Zaczęło się od jednej bardzo ostrej zimy, kiedy nie mogłam utrzymać równowagi na śliskim chodniku. Potem zorientowałam się, że z kijami idę dwa razy szybciej i czuję się stabilniej także wiosną. A ponieważ mieszkałam wtedy sama, uznałam, że to po prostu się

opłaca. Z wiekiem jest coraz trudniej. W różnych encyklopediach można przeczytać, że mózgowie porażenie dziecięce jest niepostępujące, bo samo uszkodzenie mózgu się nie pogłębia. (Chociaż mam wrażenie, że sama spastyczność owszem, nasila się z wiekiem i coraz więcej neurologów to przyznaje) Tylko że pogłębia się zużycie organizmu. Dają o sobie skutki wieloletniego chodzenia w nieprawidłowy sposób. Jeśli przez 20 lat chodzisz na ugiętych kolanach albo na palcach, z piętą w powietrzu, to coś musi się stać ze stawami. Z kręgosłupem. Z biodrami. Ze stopami. Ja przez całe życie nosiłam buty sportowe, a i tak dorobiłam się haluksów. Dziś nie mieszczę się już w zwykłych butach, muszę zamawiać ortopedyczne na miarę.

Ogromne koszty.

Tak. I tu dochodzimy do absurdu systemu. NFZ refunduje w 90 procentach jedną parę butów ortopedycznych na dwa lata. Jedną parę, czy to zima, czy lato. Mogę więc raz na dwa lata sobie zrobić teraz kozaki, a na kolejne dwa lata sandały. Tak to wygląda. Takie buty kosztują ponad 800 złotych.

Kiedy zobaczyłaś, że z wiekiem choroba coraz bardziej odbiera ci sprawność?

Polska
Poniedziałek, 23.03.2026

Mniej więcej około trzydziestki. Wciąż jeszcze walczyłam, wciąż mogłam się rehabilitować, ale zaczęłam widzieć, że ciało coraz bardziej stawia opór. Że kosztuje mnie to więcej. Że nie da się już pewnych rzeczy oszukać. Miasta, które mają uczelnie medyczne u siebie, w Gdańsku, w Poznaniu, w Warszawie, mają pod tym względem lepiej. Toruń nie ma. Najbliższa medyczna uczelnia jest Bydgoszczy.

A Ty poszłaś studiować do Torunia. Co studiowałaś? Międzywydziałowe Indywidualne Studia Humanistyczne.

Świetny kierunek. Jak sobie tam radziłaś?

Spotkało mnie dużo życzliwości, to na pewno muszę powiedzieć. Pamiętam, że jeszcze przed studiami, po maturze kolega zaprosił mnie w Bieszczady. To było wspaniałe. Na studiach też nigdy nie było problemu, żeby ktoś pożyczyl mi notatki. Dziś słyszę, że ludzie potrafią sobie za notatki kazać płacić. U mnie to się nie zdarzało. A ja naprawdę nie miałam siły pisać.

Jak wyglądało studiowanie w praktyce? Dojazdy, schody, zmęczenie?

Starałam się tak układać plan, żeby dawać radę. Rano funkcjonuję gorzej, bo mięśnie są wtedy sztywniejsze, więc jeśli mogłam, wybierałam zajęcia później; nie na ósmą. Ale i tak wiele rzeczy było ponad moje siły. Na początku nie było żadnej asysty, żadnego realnego wsparcia. Później pojawiła się asystencja osobista na uczelni, ale wcześniej z niektórych zajęć po prostu rezygnowałam, wypisywałam się z nich, bo nie zdążyłam tam dotrzeć albo padałam ze zmęczenia. Dla mnie dużo większym wysiłkiem niż nauka było ugotowanie sobie obiadu w akademiku, zrobienie zakupów, pranie, sprząatanie. Osiemdziesiąt procent energii szło na te codzienne zajęcia. Dwadzieścia procent na naukę. Z nauką problemów nie miałam.

Z czego jesteś najbardziej dumna z tamtego czasu?

Że w ogóle dostałam się na te studia. Wtedy były naprawdę oblegane. Dziś pracuję jako copywriterka, robię opisy produktów, redaguję blogi. To praca z dofinansowaniem PFRON. Nie zarabiam dużo, właściwie w okolicach najniższej krajowej. Gdybym miała więcej energii, więcej siły fizycznej, pewnie moja sytuacja zawodowa wyglądałaby inaczej. Może miałabym w czasie studiów stażę, praktyki, może coś więcej udało by się zbudować. Ale życie wygląda tak, jak wygląda. Pod koniec studiów coraz bardziej dochodziły już też ból kręgosłupa, szyi i kolejne ograniczenia.

Jak dziś wygląda twój poranek? Od czego zaczynasz dzień? Co zabiera ci najwięcej siły?

Zaczynam od rozciągania, bo inaczej nie wstanę, nie włożę butów. Najtrudniejsze są sztywniejące, napinające się mięśnie. One rządzą moim porankiem. Mieszkam w Sierpcu, a to małe miasto. Na rehabilitację trzeba dojeżdżać. Albo nie ma terapeutów, albo nie są zainteresowani pracą z osobą dorosłą. Nie wiem, czy boją się odpowiedzialności, czy uważają mój przypadek za zbyt złożony. Na rehabilitację jeżdżę do Płocka. Powinam mieć ją codziennie. Mam trzy razy w tygodniu, czasem jeśli się uda, cztery. Ograniczają mnie i pieniądze, i dostępność specjalistów. Gdyby były pieniądze, może łatwiej byłoby sięgnąć terapeutę do domu. Ale NFZ właściwie tu nie pomaga.

Według oficjalnych informacji rehabilitacja w ramach NFZ jest dostępna w różnych formach, ale ma limity i cykle. Korzystałaś z tego?

Kiedyś próbowałam rehabilitacji na NFZ, takiej przyszpitalnej, w dziennym ośrodku rehabilitacyjnym. To było kompletne nieporozumienie. Spędza się tam pół dnia po to, żeby posadzić człowieka na rowerku, podwiesić go, a masaż zrobić pistoletem gorszym niż ten, który sama sobie kupiłam do domu. Żeby rehabilitacja miała sens, potrzebne są konkretne, specjalistyczne metody. A urządzenia które naprawdę robią różnicę, jak egzoszkielet czy lokomat, nie są refundowane w ogóle. Na rehabilitację domową też nie jest łatwo się dostać. Poza tym są absurdy. Nie możesz łączyć rehabilitacji domowej z innymi świadczeniami na NFZ. Czyli jeśli rano masz rehabilitację, a wieczorem trafisz naSOR, to może się okazać, że pojawia się problem z finansowaniem tej rehabilitacji. Jakość też bywa bardzo różna. Nie masz pewności, czy trafisz na osobę dobrze wyszkoloną, czy na kogoś, kto po prostu zrobi minimum.

Kiedy pierwszy raz usłyszałaś o egzoszkielecie? I czym on właściwie jest?

Słyszałam o nim już dawno, ale kiedyś wydawało mi się, że to urządzenie dla osób, które w ogóle nie chodzą, żeby mogły poczuć radość z chodzenia i mieć z tego jakiejś korzyści fizycznej. Dopiero później zrozumiałam, że to coś znacznie więcej. To robot, który uczy prawidłowego wzorca ruchu. I to jest niesamowite. Myślę, że w żaden inny sposób nie da się tego osiągnąć, zwłaszcza u osoby dorosłej. Dorosły człowiek waży swoje, ma swój wzrost, swoje przykurcze. Terapeucie bardzo trudno jednocześnie pilnować kolan, bioder, kostek, pleców i jeszcze powtarzać ten

*BYĆ MOŻE PUTIN ZAKŁADAŁ,
ŻE TO ON BĘDZIE DEFILOWAŁ
W KIJOWIE. ROK PÓŹNIEJ ROSJANIE
SĄ OD KIJOWA DALEJ,
NIŻ NA POCZĄTKU INWAZJI*



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Ewa Kalisz: O kijach chodzę od 32 roku życia. Zorientowałam się, że z kijami idę dwa razy szybciej i czuję się stabilniej także wiosną, kiedy już nie jest ślisko

ruch przez długi czas. A robot to potrafi. I może to robić przez godzinę, kiedy człowiek już dawno nie dałby rady.

Jak wygląda taki trening? Co dzieje się wtedy z ciałem?

Z jednej strony rozciągają się przykurcze. Ten ruch jest wykonywany wielokrotnie, tyle razy, ile terapeuta nie byłby w stanie go powtórzyć. Z drugiej strony mózg zaczyna kodać prawidłowy wzorzec chodzenia, bo egzoszkielet prowadzi ciało tak, jak chodzi zdrowy człowiek. A w mózgowym porażeniu dziecięcym właśnie tego wzorca brakuje. I to było widać. Wszyscy, którzy mnie wtedy widzieli, mówili, że już w trakcie turnusu widać poprawę.

Jak trafiłaś na te zajęcia?

Przez przypadek. Ktoś polecił mi to na facebookowej grupie dla osób z MPD. Trafiłam do ośrodka w Gdańsku-Jelitkowie. Tam mają egzoszkielet, choć nie lokomat. Lokomat jest stacjonarny, a w egzoszkielecie chodzi się normalnie w przestrzeni, po sali czy korytarzu. To robi ogromną różnicę. To miejsce było dla mnie ważne także dlatego, że jest nastawione

bardziej na neurologię dorosłych. Bardzo wiele turnusów dla osób z porażeniem mózgowym to w praktyce turnusy dla dzieci. Jest dużo zajęć typu dogoterapia, zooterapia, terapia zajęciowa. A tu okazało się, że dostępna jest prawdziwa fizjoterapia neurologiczna dla dorosłej osoby.

Ile kosztują zajęcia?

Jedne zajęcia trwają około 50 minut, ale trzeba doliczyć jeszcze czas na założenie i zdjęcie egzoszkieletu. To koszt powyżej 200 złotych, a częściej bliżej 300. Ten bardziej zaawansowany egzoszkielet, z którego korzystam, kosztuje 350 zł za sesję. W pakietach bywa trochę taniej, ale to nadal są ogromne pieniądze.

Co czułaś po pierwszych treningach? Co konkretnie wraçało?

Wszystko naraz: większy zakres ruchu, lepsza równowaga, większa pewność chodu, nawet szybkość. Przykurcze się zmniejszyły. Czułam, że moje ciało zaczyna pracować inaczej.

To było bardziej doświadczenie medyczne czy emocjonalne?

Emocjonalne też. Bo nagle zobaczyłam, że może być lepiej. Od 2019 roku walczyłam już głównie o to, żeby nie było gorzej. A tu pierwszy raz od dawna pojawiła się nadzieja.

Ile takich zajęć potrzeba, żeby był efekt?

Idealnie byłoby co trzy miesiące robić dwa tygodnie takiej intensywnej rehabilitacji. I to nie chodzi tylko o sam egzoszkielet. W takich miejscach są też inne rzeczy, których prywatnie człowiek sam sobie nie zapewni. Na przykład system asekuracji podwieszony pod sufitem, dzięki któremu mogę ćwiczyć bez lęku, że się przewrócę. Mogę schodzić ze schodów, z podestów, ćwiczyć równowagę na niestabilnym podłożu. Dla dorosłej osoby to ma ogromne znaczenie. Na NFZ o czymś takim właściwie nie ma mowy.

Fundacja Kawalek Nieba założyła dla ciebie zbiórkę na Siepomaga. Co było trudniejsze: rehabilitacja czy proszenie ludzi o pomoc?

Bardzo długo nosiłam się z tą decyzją. Bałam się hejtu. Bałam się, że ludzie będą mnie rozliczać ze wszystkiego, z każdego

drobiazgu, z jednego cukierka, z wizyty u fryzjera, z jakiegokolwiek przyjemności. Bo osobom, które mają zbiórkę, często odbiera się prawo do zwyczajnego życia. Zresztą ja i mój tata bardzo długo krępowaliśmy się prosić o pomoc. On uważał, że sam zarobi, że nie będziemy nikogo prosić. Ale koszty rosły. W 2014 roku poprosiłam Fundację Kawalek Nieba o założenie subkonta, na który wpływa 1,5% podatku, żeby choć trochę wspomóc rodziców, którzy wspierali mnie przez całe życie. Decyzja o publicznej zbiórce dojrzała we mnie latami.

Trzeba mieć odwagę, żeby o to prosić?

Zdecydowanie! Bo sama zbiórka niczego jeszcze nie ułatwia. Trzeba ją udostępnić, przypominać o niej, prosić, szukać dojścia do mediów. To wcale nie jest proste. Jesteś pierwszą osobą z mediów, która ze mną o tym rozmawia. Mimo że mam znajomych z czasów studenckich pracujących w mediach, nikt wcześniej nie był zainteresowany moją historią. Być może dlatego, że jestem dorosła. Być może dlatego, że z tym się urodziłam, a nie wydarzył się żaden medialny wypadek. Nie mam też ultrazadkowej choroby genetycznej, o której łatwo napisać, że jest jedna na milion. Mózgowe porażenie dziecięce nie wydaje się medialne. A przecież przy czterokończynowym porażeniu to, że w ogóle chodzę, wcale nie jest oczywiste.

Co czujesz, kiedy widzisz, że ktoś wpłacił pieniądze?

Ogromną wdzięczność. Oczywiście jest ten wymiar praktyczny: może wystarczy na kolejne godziny rehabilitacji. Ale jest też coś głębszego: poczucie, że ktoś uznał, że warto mi pomóc. Że nie pomyślał: „Jest dorosła, sama jest sobie winna”. Tylko po prostu zobaczył we mnie człowieka.

Ta zbiórka zmieniła coś w twoim myśleniu o ludziach?

Tak. Zobaczyłam, że ludzie są dobrzy. Naprawdę chcą pomagać. Tak bardzo bałam się hejtu, a nie ma go w ogóle. Są tylko pozytywne komentarze i mnóstwo wsparcia.

Żyjesz z MPD od ponad 40 lat. Jak powinien wyglądać dobry system wsparcia z punktu widzenia takiej osoby jak ty?

Przed wszystkim nie wolno zapominać, że z MPD nie wyrosta się po osiemnastych urodzinach. To nie jest tak, że kończy się dzieciństwo i nagle człowiek przestaje potrzebować rehabilitacji, wsparcia, sensorycznych rozwiązań. Dobry system powinien dawać dorosłym osobom z MPD prawo do aktywności zawodowej. Dziś na szczęście istnieje przepis, zgodnie z którym pracodawca nie może odmówić zwolnienia na rehabi-

litację. Jeśli mówię, że muszę wyjść o czternastej, bo rehabilitacji nie da się umówić po pracy, to formalnie nie powinno być problemu. Tylko że nie oszukujmy się, mając takie potrzeby, nie każdą pracę dostanę. Praca z ostrymi deadline'ami, praca z klientem, praca wymagająca pełnej dyspozycyjności często po prostu się przed nami zamyka. Dlatego rehabilitacja powinna być dostępna w taki sposób, żeby nie kolidowała z pracą, tylko umożliwiała normalne życie. Oczywiście dobrze byłoby, gdyby asystencja osobista naprawdę działała przez cały rok, nie jak teraz w systemie projektów z ograniczoną liczbą godzin, bo nie wszystko da się zrobić samemu i nie wszystko powinno stale spadać na rodzinę.

Na portalu siepomaga.pl zebrałaś już ponad 30 tysięcy złotych, ale potrzebujesz dużo więcej. Na co konkretnie?

Ja z tych pieniędzy korzystam na bieżąco, więc większość z tych zebranych 33 tysięcy jest już wydana. Wszystko odbywa się bardzo przejrzysto wysyłam do fundacji faktury, oryginały, listem poleconym, z zestawieniem kosztów i uzasadnieniem. Najbardziej chciałabym do lata uzbierać na turnus w sierpniu, bo do czerwca muszę potwierdzić, że będę mogła w nim uczestniczyć. Na razie tych środków nie mam, bo cały czas rehabilituję się na bieżąco. Poprzedni dwutygodniowy turnus kosztował 8,5 tysiąca złotych. A turnusy z lokomatem potrafią kosztować nawet ponad 20 tysięcy. Najbardziej liczę na to, że uda mi się skorzystać intensywniej z egzoszkieletu, może dwie godziny dziennie zamiast jednej. Przy czterokończynowym MPD problem nie dotyczy przecież tylko nóg i rąk. To także tułów, szyja, twarz. A za tym idą kolejne terapie, na przykład fizjoterapia stomatologiczna, opracowująca twarz i staw skroniowo-żuchwowy. To jest dodatkowe 200-400 złotych tygodniowo.

Napisałaś przy zbiórce: „Jeśli się poddam, wysiłek i poświęcenie moich rodziców pójdą na marne”. Kiedy po raz pierwszy pomyślałaś o swoim życiu właśnie w ten sposób?

Dziś mam coraz większą świadomość, jak wielkie były nakłady rodziców, jak ogromny wysiłek włożyli w to, żebym mogła chodzić i być samodzielna. Im więcej sama teraz szukam dla siebie terapii, rehabilitacji, kontaktu z innymi osobami z porażeniem mózgowym, tym mocniej to widzę. Coraz lepiej rozumiem, jaką cenę zapłacili za moje chodzenie, za moją samodzielność. Bo nie dla każdego rodzica jest oczywiste, że trzeba dziecko zawieźć, przywieźć, poczekać, zawalczyć o normalną szkołę, podporządkować temu swoje

życie. Moi rodzice to robili. Po śmierci taty w 2019 roku wszystko się zmieniło: finansowo, praktycznie, emocjonalnie. Nie mam prawa jazdy. Tata mnie woził. Był niesamowicie dyspozycyjny, zawsze mogłam na niego liczyć. A do tego cały czas pracował, także wtedy, kiedy był już w wieku emerytalnym. I ja mam z tego powodu poczucie winy. Wiem, że nie powinnam go mieć, ale mam. Mam poczucie, że pracował także przeze mnie. Teraz to wszystko w dużej mierze spada na mamę.

Co dziś znaczy dla ciebie samodzielność?

Przed wszystkim decyzywność. To, żebym mogła sama o sobie stanąć i żyć na własnych zasadach. Przy MPD problem nie sprowadza się tylko do chodzenia. To także sztywność mięśni, która sprawia, że czasem mogę nie być w stanie się ubrać. Już teraz zdarza się, że siłuję się ze skarpetkami, z butami. Dziś bywa tak, że muszę prosić kogoś o pomoc, żeby się ubrać. Widzisz, samodzielność dla mnie nie oznacza jakiegoś wielkiego hasła, tylko to, czy człowiek może sam się ubrać, wyjść i funkcjonować.

Skąd bierzesz siłę, skoro każdy dzień oznacza wysiłek?

Nie mam wyboru. Najbardziej boję się utraty niezależności. Tego, że będę zamknięta w domu, że stanę się ciężarem dla mamy, dla młodszej siostry. Ale o słabościach nie chcę mówić. Niech zostanie, że to wewnętrzna siła. Po prostu ją mam.

Znajomi mówią o tobie, że jesteś bardzo dzielna.

Ja tego tak nie czuję. Zawsze myślę, że mogłabym więcej, mocniej, lepiej. Ale skoro mimo wszystko cały czas walczę, to może naprawdę warto mi pomóc.

Jak widzisz swoją przyszłość?

Swoje życie? Chciałabym, żeby było dobrze. Tylko to też nie jest takie proste do zdefiniowania. Chciałabym chodzić, chciałabym być niezależna, chciałabym jeszcze czegoś fajnego doświadczyć.

Pojechać w Bieszczady?

Na przykład. Albo pójść w Himalaje. Żartuję, oczywiście.

CV

Pani Ewie można pomóc:

Na siepomaga.pl:
www.siepomaga.pl/ewakalisz
Można też przekazać 1,5% podatku dla Ewy KRS 0000382243 – cel szczegółowy 1,5% "136 pomoc dla Ewy Kalisz"

Co jest lepsze: ładniejsze, masowe zniekształcenie czy prawda znana regionalnie? To pytanie, które w kontekście serialu „Ołowianych dzieci” Netflixa stawia Stanisław Torbus, wnuk prof. Bożeny Hager-Małeckiej. Mówi też o powodach, dla których jest gotów walczyć z platformą w sądzie

Marcin Śliwa

W „OŁOWIANYCH DZIECIACH” ZROBILI Z MOJEJ BABCI SZWARCCHARAKTER



Dla pokoleń lekarzy postać prof. Bożeny Hager-Małeckiej była wzorcem i o jej pamięć i dobre imię dopomina się rodzina

Jak pan zapamiętał swoją babcię, które jej cechy szczególnie utkwiły panu w pamięci?

Stanisław Torbus: Urodziłem się w 1985 roku, więc nie pamiętam czasu jej największej aktywności zawodowej. Pamiętam ją jako kochaną babcię, do której przyjeżdżałem. Mieszkała skromnie na ostatnim piętrze starej kamienicy w Zabrze. Jej pokój wypełniony był pamiątkami po pradziadku, różnymi jej odznaczeniami, ale przede

wszystkim artefaktami związanymi z historią Śląska i rodu Hagerów. Pradziadek miał na nią olbrzymi wpływ, i w ostatnich latach uwielbiała o nim opowiadać. Była wychowana w duchu patriotycznym i niepodległościowym – pradziadek był bliski przyjacielem Korfanteo, działaczem niepodległościowym i posłem na Sejm Śląski. Stąd też etos pracy lekarza i przekonanie, że ma być przede wszystkim blisko pacjenta, a nie odwrotnie.

To było widać. Miała też całkowity brak respektu dla pieniądza, to nie było dla niej istotne, co pokazuje to, jak skromnie mieszkała pod koniec swojego życia. Ostatnio pani profesor Sadowska, która bardzo dobrze zna historię „ołowianych dzieci” wspominała, że do kliniki zawsze jeździła tramwajem i nie traktowała pieniędzy jako punkt odniesienia.

Osoby, które znały Pana babcię, mocno zwracały uwagę

na cechy jej osobowości: serdeczność i przyjazne nastawienie do ludzi

Proszę to zderzyć z obrazem bohaterki, profesor Berger. Z całym szacunkiem dla uwielbianej przeze mnie Agaty Kuleszy: odegrała postać bufona. Pierwsza jej scena, gdy doktor Wadowska-Król niby wykrywa ołowicę i zjawia się w willi profesor, która właśnie imprezowała i nie miała czasu. To był pierwszy cios w twarz. Nie dość, że to była odwrotna sytuacja i profesor Bożena

Hager-Małecka wykryła tę ołowicę, pojechała do przychodni doktor Wadowskiej-Król, czekała w korytarzu z innymi śląskimi kobietami, aż wejdzie do gabinetu pani doktor Wadowskiej-Król, co jest zresztą opowiedziane przez samą Wadowską-Król, że tak to wyglądało, po czym jej oznajmiła, że jest ołowica i trzeba zdiagnozować pozostałych pacjentów. Od razu zaczęły razem działać, bez tej bufonady. Pokazali babcię jako osobę, która cały czas żyje w sposób bardzo, bardzo wygodny, co było kompletną bzdurą. Przedstawili kompletnie inną osobę. Dokonali takiego zabiegu artystycznego, że wzięli faktycznie realną osobę, która była motorem tych zmian opisywanych w „Ołowianych dzieciach”, odebrali jej imię, nazwisko i zamienili w postać, która z założenia miała być wrkiem do bicia. Tak się z postaciami prawdziwymi nie robi. Babcia zawsze mówiła, że największym jej zawodowym osiągnięciem, z którego jest najbardziej dumna, jest wykrycie ołowicy i znalezienie mieszkań następczych. Teraz gigant medialny po prostu chce jej to odebrać i wymazać ją całkowicie z pamięci. Nie mogę wobec tego przejść obojętnie, bo nie będę mógł spojrzeć w lustro.

Jak historia dzieci z Szopienic funkcjonowała w pana rodzinie?

Wtedy się o takich rzeczach z dziećmi nie rozmawiało, jeśli chodzi o zawodowe rzeczy. Babcia opowiadała mi o tym, jak traktowała pacjentów, jak jeździła do przychodni, m.in. do Szopienic, że spotykała się co pół roku z lekarzami z poszczególnych placówek, a miała pod sobą całe województwo śląskie. O doktor Wadowskiej-Król też mówiła, bardzo ciepło, że bardzo dobrze jej się z nią pracowało, że była lekarzem z powołania. Natomiast to była działalność zawodowa, którą się z dziećmi w tamtych czasach nie dzieliło. Wspominała, nie unikała tego tematu, ale więcej mówiła o pradziadku.

Co pana najbardziej dotknęło w tym serialu?

Dwie rzeczy ubodły mnie najbardziej. Po pierwsze, przedmiotowe potraktowanie ludzkiej historii i drugiego człowieka. Wszystko w tym serialu, jeżeli chodzi o prof. Bożenę Hager-Małecką aka prof. Berger, jest nieprawdziwe, zmienione na potrzeby większych zasięgów serialu. Nie można bardziej przedmiotowo potraktować drugiej osoby i pamięci o niej. Począwszy od tego, że to ona wykryła ołowicę, że ona była moto-

rem napędowym, że faktycznie kochała swoją pracę i wierzyła w nią. Była lekarzem z pasją i chroniła prof. Wadowską-Król. Nie było tam nigdy żadnego konfliktu od początku do końca. To wszystko, jeśli chodzi o tę postać, jest całkowicie zmienione na potrzeby stworzenia westernu. Przyjeżdża osoba z zewnątrz, bo Wadowska-Król w serialu nie jest pokazana jako Ślązaczka, mimo że była nią z dziada, pradziada, tylko przyjeżdża ktoś z zewnątrz, nie wiem skąd i zbawia ten głupi, śląski lud, który zakażone rany u dzieci, w których wiją się robaki, daje psu do wylizania. To było specjalne operowanie emocjami, manipulowanie nimi, żeby pokazać beznadzieję tej sytuacji i ciemnotę, czyli nas, a prawda jest całkowicie inna. Trzy śląskie medyczki, każda z innej parafii, znalazły płaszczyznę porozumienia, jaką była chęć uratowania dzieci. Każda zakaśała rękawy i wykorzystując swoje możliwości, wspólnie doprowadziły do szczęśliwego finału, czyli do przeniesienia tych rodzin w inne miejsca. Oczywiście, że każda wykorzystywała inne umiejętności. Nie łudźmy się: gdyby nie przyjaźń mojego pradziadka z Ziętkiem i znajomość mojej babci z Ziętkiem, to by się nie udało, bo Ziętek tam był postacią kluczową. Kolejna osoba ze Śląska, z dziada pradziada, która tę sytuację załatwiła. W tym, jak to przedstawili, nie ma ani grama prawdy, ani w postaci mojej babci, ani w całej historii trzech kobiet, które współpracowały.

To zastanawiające, bo z równościowej perspektywy platformy ta historia w ujęciu współpracy trzech różnych kobiet jest niemal gotowcem.

Historia współpracy kobiet w tym opresyjnym systemie. Kobiety tutaj same ogarniają tak trudny temat. Nie mam pojęcia, czemu służy ta „westernizacja”, tym bardziej że to była bardzo fajna, feministyczna opowieść i tak faktycznie było. Lekarzki od początku działały razem, od początku wszystkie śląskie kobiety ich słuchały. Jak Wadowska-Król powiedziała, że mają wszystkie przyjechać na badania, to była stu procentowa frekwencja. Słuchałem kiedyś wywiadu z panem Pieprzycą i mówił, że tam, gdzie nie ma konfliktów, trzeba je stworzyć. Nie zgadzam się z tym, nie w historii inspirowanej, jak to określają, prawdziwymi wydarzeniami, którą Netflix wszędzie reklamuje jako historię prawdziwą, w co już teraz ludzie wierzą, a co do

piero będzie za pięć lat. To manipulowanie emocjami w taki sposób, żeby ludzie uwierzyli w tę historię, która jest przedstawiona w serialu. Wszystkie postacie historyczne mają swoje imiona i mniej więcej charakter i mniej więcej rolę, którą odegrały w tej prawdziwej historii, z wyjątkiem jednej. To jest takim zabiegiem, który ma na celu wywołanie u widza przeświadczenia, że tak było naprawdę. I tak ludzie będą wierzyć, bo siłą rzeczy masy są przekąźnikiem pamięci historycznej, a nie opracowania naukowe czy dokumenty.

Czy w pana rodzinie toczy się taka wewnętrzna dyskusja, czy macie jedno i to samo stanowisko?

Jedno i to samo stanowisko, przelane zresztą na papier, na działalność w imieniu spadkobierców. Ona naprawdę była wspianym, ciepłym człowiekiem. Ta historia była dla niej kwintesencją jej kariery naukowej, zwieńczeniem i czymś, z czego była najbardziej dumna, bo wykazała się wtedy olbrzymią, niezwykłą odwagą i poświęceniem. Naprawdę ryzykowała własną karierę i wszystko, co miała. I ktoś jej to odbiera tylko dlatego, żeby sprzedać to na zagranicznych rynkach? No nie, trzeba powiedzieć nie.

Różne środowiska na Śląsku wśród głównych zarzutów wobec tej produkcji wskazywały właśnie na osobę pana babci i serialową profesor Berger. Jakie te głosy miały dla Pana znaczenie, że jednak ludzie stąd tak mocno stanęli za prawdą historyczną?

Nie jestem w stanie wyrazić, jak duże to miało dla mnie znaczenie, naprawdę. Zwłaszcza, że w miarę jak się rozpętywała ta burza medialna, to kolejne osoby z grona naukowego zaczęły się do mnie zgłaszać, utwierdzając mnie w tym przekonaniu, że było całkowicie inaczej, że aż tak nie można zmieniać tej historii, nie można jej odwracać od 180 stopni. To zarówno reakcja Śląskiego Uniwersytetu Medycznego, któremu bardzo dziękuję za konferencję prasową poświęconą prawdziwej historii Bożeny Hager-Małeckiej, jest faktycznie strażnikiem prawdy i broni swojej profesorki, jak i reakcje pacjentów oraz lekarzy, którzy współpracowali i byli leczeni przez babcię. To potwierdza sens naszych starań, a to nie jest łatwa walka, bo zdania są podzielone. Część artystycznego świata, również na Śląsku, mówi, że artysta ma tę dowolność, ma licencję na pewną poetykę



Prof. Hager-Małecka miała trzy wady: była bezpartyjna, była kobietą i była Ślązaczka

i można manipulować historię w taki sposób. Tylko pytanie, gdzie jest granica tej manipulacji. Mam wrażenie, że to był tylko i wyłącznie zabieg, który doradzili prawnicy w celu uniknięcia pozwu. Zmieniłi całkowicie przekaz historyczny. Prawdziwa historia była o tym, że nawet reżim komunistyczny można skruszyć współpracą i merytorycznym działaniem, a zaserwowali nam film o rewolucji z Polski, który przyjechał zaprowadzić na Śląsku porządek. To są dwa całkowicie inne przekazy.

Nie przekonują pana głosy, że dla dramaturgii serialu potrzebna była „szwarczarakterka” i właśnie dlatego, żeby nie oczernić pani profesor Hager-Małeckiej, stworzono fikcyjną postać profesor Berger?

To było absolutnie bezskuteczne. Już przed emisją serialu wszyscy wiedzieli, o kogo chodzi. Powołują się w serialu na książkę o „Ołowiane Dzieci”, w której Michał Jędryka to bardzo jasno i rzetelnie opisał. W dniu premiery serialu sprawdziłem wpis na jego temat w Wikipedii i przy profesor Berger jest odnośnik do profesor Bożeny Hager-Małeckiej. Gdyby zmienili postać drugopla-

nową, trzecioplanową, może by wtedy to zadziałało, ale nie inicjatorkę całego wydarzenia. Mam wrażenie, że to był tylko i wyłącznie zabieg, który doradzili prawnicy w celu uniknięcia pozwu. Zmieniłi całkowicie przekaz historyczny. Prawdziwa historia była o tym, że nawet reżim komunistyczny można skruszyć współpracą i merytorycznym działaniem, a zaserwowali nam film o rewolucji z Polski, który przyjechał zaprowadzić na Śląsku porządek. To są dwa całkowicie inne przekazy.

Świadkowie historii wspominają, że profesor Hager-Małecka roztaczała nad doktor Wadowską-Król parasol ochronny. W serialu nie było to tak jednoznacznie pokazane.

Nie, tym bardziej że Grudzień naprawdę nie był jej przychylny, co zresztą doktor Wadowska-Król sama mówiła w wywiadach, że cytując: „był okropny”. Podobnie Jonek, ówczesny rektor Śląskiego Uniwersytetu Medycznego, przyjaciel Grudnia. Można powiedzieć, że na tej linii był konflikt. Zarzucił mojej babci, że ma trzy wady: to, że jest bezpartyjna, jest kobietą i jest Ślązaczka. Powiedziała mu, że to się nigdy nie zmieni. Ona tam naprawdę miała mnóstwo wrogów, a mimo to jednak zaryzykowała wszystko i podejrzewam, że to dlatego mówiła, że to było osiągnięcie jej życia. Ojciec opowiadał nam, że dziadek odradzał babci zaangażowanie w tę sprawę, „bo nas wszystkich

pozamykają”. To był okres schyłkowy władzy Ziętka i jego parasol też nie był już taki silny. Doktor Wadowska-Król i moja babcia do końca swoich dni mówiły o sobie nawzajem w samych superlatywach, między nimi nie było żadnego konfliktu. Chęć podkreślić, że jeśli jest coś pozytywnego z tego scenariusza, to to, że doktor Wadowska-Król i pani Wiesława Wilczek zostały uhonorowane, bo to o nim się należy.

Pan i pozostali spadkobiercy profesor Hager-Małeckiej wysłaliście do platformy Netflix przedświadczone wezwanie do zaniechania naruszania dóbr osobistych. Na co pan liczy w ramach tej inicjatywy?

Muszę odczarować to, co zrobił Netflix i to odczarować nie na chwilę, kiedy toczymy tę burzę medialną, tylko na lata, bo ten serial będzie

emitowany przez lata. Chcę też stworzyć organizację pozarządową, która zajęłaby się dziedzictwem rodu Hagerów. To jest bardzo zasłużony ród, od Maksymiliana, przez Bronisława po Bożenę Hager-Małecką - wszyscy lekarze i społecznicy. Chodziło mi to już po głowie, gdy znalazłem pamiętnik pradziadka, który udało się wydać w 2023 roku, natomiast serial Netflixa jeszcze bardziej zmotywował mnie do tego, żeby stworzyć strażnika tej pamięci, twardego niż ja czy szum medialny, żeby pilnował tej prawdy, a jednocześnie robił coś dobrego. Skoro Netflix zmienił śląską historię po to, żeby dobrać do jak najszerzego grona odbiorców, nazwijmy to tak eufemistycznie, to niech jakąś korzyść Śląsk z tego będzie miał.

Jeśli jakiegokolwiek środki pojawiają się ze strony Netflixa, to absolutnie wszystkie, zostaną przekazane na działalność statutową Fundacji, która w założeniu ma współpracować ściśle, jeśli nawet nie pod nadzorem Śląskiego Uniwersytetu Medycznego, bo zależy mi na transparentności. Jeśli będzie z tej mojej prawnej batalii jakiś profit, to trafi tylko i wyłącznie do śląskich dzieci i śląskich medyków, do nikogo innego. Chcę, żeby coś z tej historii było dla Śląska pozytywnym w sensie rzeczywistym, czyli żeby miało to wpływ na profilaktykę oraz badania dzieci i młodzieży na Śląsku, a także pamięć o mojej babci, żeby została zachowana zgodnie z prawdą.

To jest też w pewnym sensie kontynuacja jej dzieła. Jedną rzeczą jest ochrona pamięci historycznej, a drugą to, że...

... jej nazwisko dalej będzie leczyło dzieci. Tak, uważam, że to jest optymalne rozwiązanie i wszyscy, jako cała rodzina, jesteśmy tego zdania.

Rozmawialiśmy o wsparciu, jakiego udzieliła Panu spo-

łeczność w naszym regionie. Co to mówi o Ślązakach i Ślązaczkach, że bronią prawdy o swoich bohaterkach?

To, że faktycznie jesteśmy społeczeństwem, które ma swoją tożsamość, swoją pamięć, swoich bohaterów, o których jesteśmy gotowi walczyć. My mamy swój charakter i skoro bronimy swoich bohaterów, to znaczy, że naprawdę jesteśmy już dojrzałym społeczeństwem. Cieszę się, że Śląsk pamięta, bo naprawdę otrzymałem dużo wsparcia od samorządowców, środowiska naukowego, jak i samych pacjentów oraz ludzi, którzy znali profesor Hager-Małecką. Nie pozwalajmy komuś zniekształcać naszej historii, bo jak zapomnimy o naszych autorytetach, to stracimy kompas, według którego podążamy, a nie zastąpi go sztuczna inteligencja. Dużo osób zarzuca mi, że gdyby nie było tego serialu, to nikt by się o mojej babci nie dowiedział, ale dowiedzieli się o profesor Berger, a nie o niej. To dzięki dyskusji medialnej dowiedzieli się o profesor Hager-Małeckiej. Trzeba też przyznać, że pamięć o bohaterkach tej historii miała się całkiem dobrze. Oczywiście nie była masowa, znano ją głównie na Śląsku, ale znano prawdę. Co jest lepsze: ładniejsze, masowe zniekształcenie, czy prawda znana regionalnie?

Czy twórcy nie przyłożyli się wystarczająco do poznania tej historii?

Nie, oni po prostu chcieli stworzyć z mojej babci szwarczarakterkę, a wiedzieli, że to się spotka ze sprzeciwem, więc stwierdzili, że profilaktycznie zmienią jej nazwisko. Jak zobaczyłem zjawki serialu, w których Agata Kulesza gra profesor Berger, a wszyscy inni są pod swoimi nazwiskami, to zacząłem się zastanawiać, o co tutaj chodzi? Po zobaczeniu serialu już się to wyjaśniło.

REKLAMA

0111461412

**CZAS NA WIOSENNE
ODŚWIEŻENIE GARDEROBY
ODKRYJ NOWE TRENDY**

**W CENTRUM MODY
NADARZYN**

Czynne w każdą
NIEDZIELĘ
niektóre sklepy

CM
ELEGANCJA

Al. Katowicka 51, Nadarzyn
tel. 22 739 55 00

POLITYKA NA TALERZU. HEJT NA LEWACKI SCHABOWY

Uwielbiana przez klientów mała wege knajpka „Karrotka” w Toruniu mierzy się z hejtem. Cięgi dostaje m.in. za schabowego z seitana. Podobno to zamach na kotleta, tradycję, polskie mięso i kulturową spuściznę. Znają tę melodię także inne wege lokale w kraju

Małgorzata Oberlan



FOT. PIOTR LAMPKOWSKI

Prowadzący w Toruniu wege lokal „Chwast Prast Vegetarian Bistro” hejt na dania z seitana uznaje za absurdalny. Sam zaprasza swoich klientów przed Wielkanocą na białą kielbasę z seitana. Natomiast jako organizator Wolnego Jarmarku Toruńskiego zachęca do zakupów swojskich wędlin od gospodarzy. Jedno się z drugim nie kłóci, bo dla niego jedzenie jest albo dobre, albo nie – na pewno nie jest „polityczne”

Abstrud? A jednak się dzieje! Nie tylko zresztą w Toruniu. Seitan to wysokobiałkowy, wegański zamiennik mięsa, produkowany z glutenu pszennego. Produkuje się poprzez wypłukanie skrobi z mąki. Gąbczasty i bezpłciowy w smaku nabiera charakteru we wprawnych rękach kucharzy. Nie od dziś w kuchni wege jest podstawą do przygotowania rozmaitych kotletów, gulaszy, burgerów, dań z grilla.

Czy „schabowy z seitana” – serwowany w toruńskiej knajpce – i wielu innych w kraju – ma polityczne barwy? Według skrajnych ortodoksów: tak. Bo prawomysłny, prawdziwy i polski schabowy może być tylko jeden – ten z wieprzowiny. Dania z seitana – niech sobie będą – ale niech nie podszywają się

pod nasze dobra narodowe. Żaden schabowy czy mielony z tego roślinnego zapychacza niechaj nie śmie nazywać się tradycyjnie. Nie ma prawa i już! Do tego sprowadzają się te absurdalne hejty.

Oczywiście, niektórzy w atakach idą jeszcze dalej. Kotlet z seitana czy innej roślinnej alternatywy mięsa to dla nich lewactwo, zamach na tradycję kulinarną, polskiego rolnika, hodowcę i producenta mięsa.

Pani Joanna z „Karrotki”: hejt odchorowała

„Karrotka” działa na toruńskiej starówce od 15 lat. To mała knajpka restauracja, a może raczej bar – serwuje dania wegetariańskie. Pyszne, domowe, codziennie inne. Kusi nie tylko wege wersjami schabowych

czy mielonych, ale i różnymi pierogami, naleśnikami, zapiekankami, kluskami, zupami.

– Co ważne w naszej historii, większość naszych klientów to osoby jedzące mięso. Po prostu doceniają domową i smaczną kuchnię; często śmiejąc się, że mają dość jedzenia na mieście kebabów – mówi pani Joanna.

Prowadzi swój lokal z pomocą syna. Ma też doraźne wsparcie. W praktyce pani Joanna robi prawie wszystko: gotuje, obsługuje, sprząta, planuje, ogarnia rachunki i zamówienia. Do tego jeszcze codziennie fotografuje danie dnia (zawsze inne!) i pokazuje na Facebooku „Karrotki”. I tutaj właśnie hejt się wlewał. Cięgi ohydne i bezpardonowe dostawała „Karrotka” najczęściej właśnie za to, że śmie schabowego z seitana czy gyros z roślinnych produktów nazywać tymi nazwami. Oprócz agresywnych czy wulgarnych komentarzy były też wiadomości wysyłane bezpośrednio do lokalu.

– Ten hejt już odchorowałam. „Karrotka” to lata całe mojego życia, a gotowanie to miłość i pasja. Tak łatwo się nie poddam – usłyszeliśmy od pani Joanny pod koniec zimy.

Wtedy wsparciem okazały się rzesze sympatyków, które, po pierwsze, ruszyły na pomoc lokalowi, bo ten, dobity mrozami i opłatami, znalazł się na skraju przeżycia. Ale ogłoszona zbiórka pieniędzy na Zrzutce.pl przyniosła nie tylko materialną pomoc, ale i mnóstwo dobrych słów, wyrazów uznania, pochwał.

Tyle że w marcu problem wrócił...

Absurd do kwadratu. „Pochodzę z bardzo pravicowego domu”

W Dzień Kobiet pani Joanna zdecydowała się w mediach

społecznościowych wystosować krótki apel. „Proszę o niemieszanie polityki i poglądów w nasze jedzenie” – brzmiał jego tytuł.

„Pochodzę z bardzo pravicowego domu, który nauczył mnie szacunku do innych, mnóstwa miłości, byłam wręcz bombardowana czułością. Jadło się u mnie pyszne ziemniaczki, marchewkę z groszkiem, mizerię, a nawet kotlety sojowe, a te kopytka... (pozdrawiam Mamę). Na przestrzeni lat zauważyłam, że zarówno lewo i prawo stosuje mowę nienawiści. Tak jakby moja praca, schabowe i klopsiki dzieliły talerze. Kuriozum” – napisała pani Joanna, umęczona sytuacją.

I tutaj właśnie docieramy do sedna sprawy. Historia „Karrotki” bowiem to absurd do kwadratu. Absurdalne są nie tylko same ataki na potrawy, ale i fakt, że akurat pani Joanny nikt w środowisku z lewicowymi przekonaniami nie kojarzy. Toruń wielkim miastem nie jest i żadna to tutaj tajemnica, że rodzinnie bardziej restauratorce na prawo niż na lewo. A zbiórkę pieniędzy na ratowanie lokalu założyła klientka, która też anonimowa nie jest – znana jest w mieście z pravicowych przekonań. I nikt z tym większego problemu nie miał, bo do „Karrotki” od lat stołować się przychodziła ludzka rodzina: na pyszny obiad, a nie politykować.

„Słyszę i czytam te podłe komentarze (wiadomości). Nie powiem: te miłe sprawiają, że ciepło mi na serduchu. Te gorsze usuwam. Bo nie można nazwać mojego jedzenia „g...m”. Dziękuję Wszystkim, którzy lubią moje jedzenie i powiem jedno: nie poddam się” – tak kończy marcowy post pani Joanna.

Filip Malinowski: na Wielkanoc będzie kielbasa biała z seitana!

Co robić z takimi hejterami? Odpowiedzieć sobie na takie pytanie musiał już nie jeden lokal gastro. Tyle że w Toruniu akurat dotąd takiej historii jak ta dotyczące „karrotkowego schabu” nie było.

Filip Malinowski, który prowadzi „Chwast Prast Vegetarian

Bistro” w Toruniu, odpowiedział ma taką. – Za pierwszym razem nawet na jakiś agresywny wpis klientowi spokojnie odpowiem. Bo uważam, że każdy ma prawo wiedzieć dokładnie, z czego składa się serwowana potrawa. Jeśli pojawia się hejt, to hejtera blokuję, a komentarze usuwam. W razie przybierania tego na sile natomiast trzeba po prostu sprawę zgłosić policji: hejt się ściga! Najlepiej od razu uczynić to przez prawnika; nie bawić się samodzielnie – mówi. Hejt na schabowego z seitana uważa za absurd. – Nie znam przepisów, które zakazywałyby używania nazw typu „schabowy z seitana” czy „mielony z seitana” – podkreśla Filip Malinowski.

I z uśmiechem dodaje, że jego bistro na Bydgoskim Przedmieściu na Wielkanoc na pewno zaprosi klientów na „kielbasę białą z seitana”. Żadnych hejtów z tego powodu się nie spodziewa. Lokal co prawda działa w dzielnicy, w której od dekad silne jest środowisko kibicowskie, często pravicowo zorientowane. Ale „Chwast Prast” darzone jest sympatią i szacunkiem („Można stolik na noc zostawić i nic nie zginie”).

Od ponad 10 lat Filip Malinowski organizuje na starówce Wolny Jarmark Toruński. Promuje tradycyjnie, uczciwie i lokalnie wytwarzaną żywność – ze swojskimi wędlinami prosto od gospodarza na czele. I na takie zakupy też zaprasza. Jedno się z drugim nie kłóci, bo dla niego jedzenie jest albo dobre, albo nie – na pewno nie jest „polityczne”.

Hejty w kraju: na wege, ale i też wśród wege za „odszczepieństwo”

Z hejtem mierzyć się musiała czy musi niejedna restauracja w kraju. Obelżywymi wyzwiskami i pogrozkami na plakacie, wraz z deklaracją: „Nigdy dość rasizmu i faszystwu w Trójmieście” została przywitana w pewien sobotni poranek obsługa restauracji Avocado Vegan Spot w Gdańsku. I był to już drugi atak skrajnej prawicy na tę restaurację. Wydarzenia miały miejsce kilka lat temu

i szerokim echem odbiły się w kraju.

Niestety, akurat w Trójmieście „hejty na wege” się powtarzały. Jesienią ubiegłego roku głośno było o nagłym zamknięciu „House of Seitana”. W nagraniu pożegnalnym prowadzący restaurację wskazał jasno na hejt oraz akty wandalizmu. Seitana był znakiem rozpoznawczym tego lokalu, a zasług w popularyzacji kuchni roślinnej w Trójmieście nikt mu nie odbierze. Tyle że wszystko trwało do czasu...

Ale, uwaga! Hejtować potrafią tak samo bojeśnie sympatycy wege. Tak było w Katowicach, w 2024 roku. Wówczas sieć restauracji „Z Liściami” – aby ratować się na rynku – do dotychczasowej wege oferty wprowadziła dania mięsne. I rozlała się naprawdę bolesna fala hejtu!

Pod adresem osób zarządzających lokalami padły takie określenia jak „mordercy” czy „zdradcy”. Na grupach zrzeszających w sieci wegan miano odradzać wizyty w „Z Liściami” i grożono, że o zmianie polityki gastronomicznej dowiedzą się dostawcy zieleniny i pod naporem opinii z sieci zrezygnują z dostarczania produktów.

Ataki były tym bardziej okrutne, że „Z Liściami” to nie zwykła sieć lokali – działają jako przedsiębiorstwo społeczne. Otworzyło je Śląskie Centrum Profilaktyki i Psychoterapii, a pracę w restauracjach znajdowały m.in. osoby, którym trudno odnaleźć się na standardowym rynku pracy ze względu na uzależnienia, problemy życiowe. Uderzono zatem hejtersko w te słabsze ogniw...

©@

MOŻLIWE SĄ ZMIANY W NAZEWNICTWIE

W październiku 2025 roku Parlament Europejski poparł zakaz używania nazw kojarzonych z mięsem, takich jak „burger”, „kielbasa”, „stek” czy „parówki” dla roślinnych zamienników. Celem ma być ochrona konsumentów przed wprowadzaniem w błąd oraz ochrona tradycyjnych nazw. Zgodnie z decyzją, „mięso” ma oznaczać wyłącznie produkty pochodzenia zwierzęcego. Zakaz taki jednak nie wszedł w życie. Przejść musi jeszcze całą procedurę legislacyjną. (Za: Centrum Prawa Żywnościowego i Produktowego)

– Mowa tutaj o nazewnictwie stosowanym przez producentów, a nie w gastronomii – dodaje Filip Malinowski, restaurator i prezes Fundacji Zdrowego Życia w Toruniu.



FOT. FACEBOOK/KARROTKA

Jedna z potraw wegetariańskiej restauracji „Karrotka”

DALEKO OD SZOSY, CZYLI HISTORIA Z ŻYCIA WZIĘTA (DO TELEWIZJI)

Pół wieku temu Telewizja Polska wyemitowała pierwszy odcinek serialu „Daleko od szosy”. Natychmiast podbił serca widzów. Wielu z nich odnalazło w opowieści o Leszku, ambitnym chłopcu ze wsi, obraz swojego awansu społecznego. Większość zdjęć do serialu nakręcono w Łodzi i okolicach, ponieważ czyniąc samo miasto bohaterem trzeciego planu

Anna Gronczewska

To opowieść o Leszku, chłopaku ze wsi, bez wykształcenia, który zakochuje się w Ani, studentce z Łodzi, porzucając Bronkę, dziewczynę z jego wsi. Została nakręcona na podstawie powieści łódzkiego pisarza Henryka Czarnieckiego.

Widzowie szybko pokochali „Daleko od szosy”. W sobotnie wieczory przed telewizorami gromadziły się całe rodziny. Początkowo serial nie wszystkich zachwycał. Listy zwolenników i przeciwników „Daleko od szosy” napływały do łódzkiego Teatru im. Stefana Jaracza oraz Teatru Nowego, w których występowały główni bohaterowie serialu – Krzysztof Stroiński oraz Irena Szewczyk.

„Od pierwszego odcinka poczułam sympatię do Ani – pisała jedna z fanek serialu. – A chyba dlatego, że przypomniała moje szczenięce lata. Też z początku nie wiedziałam czego chcę, ale później, kiedy dojrzałam, było już za późno”.

Nie brakowało też przeciwników „Daleko od szosy”.

„Już dawno wszyscy, których znam (a jest dużo takich osób, bo w szkole, poza nią, w domu) zastanawialiśmy się, co skłoniło reżysera filmu do obsadzenia głównej roli męskiej takim nieciekawym aktorem, słabym, miernym” – pisał kilkunastoletni widz.

Serial nie zyskał też sympatii u jednego z mieszkańców Bielska Białego.

– Na ten serial można tylko kląć, wściekać się, w końcu wyłączyć telewizor, by nie oglądać tej durnej akcji, tego nieustannego lizania się! – oburzał się widz. – Ostatnio już doszło do położenia tej Ani w łóżku, z Leszkiem oczywiście. Chyba ten serial wyprodukowano tylko dlatego, by zagitać do związków jak ten, co się tu kroi. Nic dziwnego, że matka jest contra. Żadna inteligentna dziewczyna i z dobrego domu nie chciałaby takiego Leszka. Ani nawet Krzysztofa S.



Krzysztof Stroiński i Sławomira Łozińska stworzyli niezapomniane postacie Leszka i Bronki. Od tych kreacji trudno było im się uwolnić w aktorskiej karierze

Leszek nie był z Łodzi, ino ze Śląska

„Daleko od szosy” przyniosło wielką popularność grającym w nim aktorom. Ich losy ułożyły się bardzo różnie. Leszka Góreckiego grał Krzysztof Stroiński, który był wtedy aktorem łódzkiego Teatru im. Stefana Jaracza, choć pochodził ze Śląska. Do Łodzi przyjechał na studia do Szkoły Filmowej, którą ukończył w 1972 roku. Miał wtedy 22 lata. Gdy dostał propozycję, by zagrać Leszka, był mało znanym aktorem. Miał za sobą główną rolę w filmie „Pójdiesz ponad sadem”.

– Reżyser Zbigniew Chmielewski zaprosił mnie do epizodu w serialu „Dyrektorzy”, bo chciał mnie wypróbować – wyjaśniał Krzysztof Stroiński „Dziennikowi Łódzkiemu”. – Zdecydowałem, że zagram w „Daleko od szosy”.

Krzysztof Stroiński wiele razy musiał się tłumaczyć dlaczego jego bohater posługuje się takim prostym językiem. Dziś to wielki atut filmu, ale okazuje się, że zaraz po premierze wielu widzów to denerwowało. Leszek często mówił: „ino”. Do legendy przeszło wypowiedziane przez niego: Sie panie czestują, na żądanie raz można.

– Znam wielu ludzi, którzy jak Leszek mówili „ino” czy „wdepnąłem tu na ciastko” – tłumaczył „Dziennikowi Łódzkiemu” Krzysztof Stroiński. – Rodzajowość wiejskiego języka została w tym filmie specjalnie stworzona i zawiera tylko kilka słów sygnałów, by umieścić tę wieś w obszarze, gdzie wpływy miasta nie są silne, gdzie ludzie mówią takim językiem. A Leszek pochodzi właśnie z takiej wsi. Poza tym wszystko, co tutaj się dzieje, zostało oparte o przeżycia prawdziwych bohaterów. Naprawdę jest taki Leszek, Ania, Bronka. Jest to rzeczywiście historia z życia wzięta.

Niedługo po premierze serialu Krzysztof Stroiński nie narzekał, że brał udział w takiej produkcji.

– Bardzo wiele osób ostrzegło mnie, że taka rola zbyt wiąże aktora z określoną postacią, że odcina go od innych propozycji – mówił Stroiński. – Ja nie otrzymuję takich ilości propozycji filmowych i nie miałem zbyt wiele do stracenia. Zainteresowała mnie postać. Istniała szansa zbudowania jej. I chciałem z tego skorzystać...

Zyskał ogromną popularność. 59-letni Dariusz Kuczyński, mechanik samochodowy z Ło-

dzi, opowiada, że kiedyś ze szkołą, chyba już w technikum, poszedł do Teatru im. Jaracza. Nie pamięta tytułu spektaklu tylko to, że grał w nim Krzysztof Stroiński.

– Gdy pojawił się na scenie, to cała widownia skandowała: Leszek, Leszek! – wspomina Darek.

Jak ciężko uciec od Leszka

W 1978 roku, a więc dwa lata po premierze „Daleko od szosy”, Krzysztof Stroiński wyjechał z Łodzi. Od tej pory można go oglądać na deskach warszawskich teatrów. Dziś jest jednym z najpopularniejszych polskich aktorów. Był czas, kiedy miał dość roli Leszka Góreckiego. Dziś podchodzi do niej z dystansem.

– Nie pomogła, a przeszkodziła – mówił w wywiadzie dla „Dziennika Gazety Prawnej”. – Odbiór był dwuznaczny. Wtedy seriali robiło się niewiele, więc ten gatunek nadawał się do krytykowania, zwłaszcza jeżeli dotyczył sytuacji robotniczo-chłopskiej, niewygodnych społecznych aspiracji i krzewienia optymizmu. To paradoksalnie okazało się siłą serialu. Zyskałem sympatię i rozpoznawalność, ale straciłem kontakt z filmem i miałem długą przerwę. Wróciłem fil-

mem Macieja Dejcera „300 mil do nieba” pod koniec lat 80. W dzwowie z tamtych lat starzeją się razem ze mną i rozpoznają mimo zmiany aparycji.

Ania wychodzi za mąż dwa razy w tygodniu

Anię, wielką miłość, a potem żonę Leszka Góreckiego grała łódzianka Irena Szewczyk. Gdy dostała tę propozycję, miała 29 lat, a rok wcześniej skończyła łódzką Szkołę Filmową. „Daleko od szosy” nie było jej filmowym debiutem. Oglądaliśmy ją między innymi w „Rzeczpospolitej Babskiej” czy „Milionie za Laurę”. Do „Daleko od szosy” trafiła przez zdjęcia próbne.

– Cieszyłam się, że to serial – opowiadała w latach 70. „Dziennikowi Łódzkiemu” Irena Szewczyk. – Ale nie zastanowiłam się nad tym, że po pierwszym, drugim odcinku przyjdzie trzeci, szósty. W ciągu jednego dnia będę grać maturzystkę i matkę. Trzeba było się szybko przeistaczać. Dla mnie wszystko działo się w ciągu kilku miesięcy, od stycznia do lipca. Najbardziej bałam się trzeciego odcinka. Był to moment, w którym zaczynałam konkurować z Bronką.

Irena Szewczyk, która była wtedy aktorką łódzkiego Teatru Nowego, mówiła że przenosiła wiele zachowań ze swego prywatnego życia do życia Ani i odwrotnie.

– Mój prywatny ślub odbył się na tydzień przed filmowym – zdradzała. – W filmie dostaję pierścionek od ojca, we własnym – od teściowej.

Co ciekawe, tą teściową była niezjąca już Krystyna Bobrowska, wieloletnia prezes Towarzystwa Przyjaciół Łodzi.

Irenie Szewczyk rola Ani przyniosła wielką popularność. – Miła pani w sklepie z gospodarstwem domowym obiecała odłożyć mi komplet zagranicznych garnków, gdy jej powiem jak skończy się serial – mówiła „Dziennikowi”.

W 1978 roku wyjechała z Łodzi. Zaczęła grać w warszawskich teatrach. Ale w 1984 roku powróciła do rodzinnego miasta

i Teatru Nowego. W 1994 roku pożegnała się z aktorstwem. Skończyła pedagogikę na Uniwersytecie Łódzkim. Obroniła doktorat, zrobiła habilitację. Dziś jest profesorem nadzwyczajnym łódzkiej uczelni. Dr hab. Irena Szewczyk-Kowalewska to wykładowca Pedagogiki Przed-szkolnej i Wczesnoszkolnej Uniwersytetu Łódzkiego.

Wiejska dziewczyna prosto z Warszawy

Niezapomnianą Bronkę, wiejską dziewczynę Leszka, zagrała Sławomira Łozińska. Do dziś jest znaną aktorką. Była nawet dyrektorem Teatru Ate-neum. Mogliśmy ją oglądać między innymi w serialu „Barwy szczęścia”. Wiele lat była żoną Janusza Olejniczaka, pianisty, laureata Konkursu Chopinowskiego z 1970 roku.

Sławomira Łozińska miała 23 lata, kiedy dostała rolę w „Daleko od szosy”. Choć urodziła się w Warszawie to wspaniała zagrała wiejską dziewczynę. Chyba każdy pamięta scenę w której Bronka je czereśnie...

– Przez mniej więcej 20 lat miałam dość kojarzenia mnie tylko z tą jedną postacią – mówiła w wywiadzie dla „Tele Tygodnia” Sławomira Łozińska. – Ale potem pomyślałam sobie, że coś w tym musi być, skoro ludzi ta rola tak niezmiennie bawi, wrzesza i ciekawi. Z pokorą i radością powróciłam do opowieści o Bronce i myślę, że tak już będzie zawsze.

Aktorką nie jest już natomiast Barbara Burska, która grała Zośkę, jedną z przyjaciółek Ani Góreckiej.

Tragicznie potoczyły się losy drugiej z jej serialowych koleżanek, Wieśki. Zagrała ją Anna Blandyna Szczepaniak, nazywana przez kolegów Blanką. W „Daleko od szosy” zagrała jedną ze swych pierwszych ról. Zapowiadała się na dobrą aktorkę. Życie zweryfikowało te plany.

Jeszcze na studiach w warszawskiej szkole teatralnej związała się z Andrzejem Strzeleckim, planowali ślub, ale do niego nie doszło. Wszystko przez nową miłość. W Teatrze Polskim w Warszawie poznała aktora Andrzeja Antkowiaka. Był od niej starszy o 15 lat. Młoda aktorka oszalała z miłości. Nie przeszkadzało jej to, że był żonaty i lubił za często zaglądać do kieliszka. Alkohol sprawił, że stracił pracę w Teatrze Polskim w Warszawie. Zmarł nagle w styczniu 1979 roku. Wcześniej zdążył się dla niej rozwieść. Młoda aktorka popadła w depresję, 2 marca wyskoczyła z okna jednej z warszawskich kamienic. Miała 28 lat.

O tych dramatach nie wiedzą lub nie pamiętają widzowie, którzy dalej z przyjemnością oglądają kolejne powtórki odcinków „Daleko od szosy”. Szczególnie w Łodzi, gdzie śledzą losy bohaterów, jednocześnie z sentymentem przypominają sobie miasto sprzed 50 lat.

RAFAŁ MAĆKOWIAK: ZUPEŁNIE INACZEJ WYOBRAŻAŁEM SOBIE PRACĘ NA PLANIE, NIŻ ZOBACZYŁEM NA WŁASNE OCZY

Właśnie oglądamy go w kinach w filmie „Król dopalaczy”. Choć nie gra głównej roli, od razu zwraca na siebie uwagę. Nam Rafał Maćkowiak opowiada o tym, jak został aktorem trochę przez przypadek – ale okazało się, że to właśnie ten zawód, w którym się spełnia

Patryk Gzyl

W jednym z wywiadów powiedziałeś kiedyś: „Każda rola jest dla mnie jakimś wyzwaniem, nawet taka na pozór wydawałoby się niespektakularna”. Tak było z Maestro w „Królu dopalaczy”?

Ta rola akurat nie była aż tak mała w porównaniu z tymi, o których wtedy pewnie wspominałem. Ale faktycznie każdy projekt angażuje mnie na tyle, że czuję się za niego odpowiedzialny. W przypadku Maestro było tak, że ta postać bardzo mi się od początku spodobała. Nie miałem więc dużego dylematu czy ją zagrać. Jej funkcja w tej historii była dla mnie dosyć jasna. Została dobrze napisana w scenariuszu i potem ten zamysł zrealizowaliśmy na planie.

Maestro to kolejna twoja rola na drugim planie. Tam są czasem bardziej oryginalne i wyraziste postaci do zagrania niż na pierwszym?

Tak to często bywa, że postacie drugoplanowe tworzą klimat scenariusza. Może to nie przypadek „Króla dopalaczy”, bo Tomek Włosok świetnie zagrał w tym filmie i stworzył wyrazistą postać. Ale już spotykałem się z takimi scenariuszami, w których główny bohater był nośnikiem tematu i spajał wątki poboczne, a bohaterowie drugoplanowi byli znacznie ciekawiej napisani. Dzieje się tak, ponieważ te postaci pojawiają się na ekranie przez krótszy czas, muszą

więc być mocniej zarysowane, aby wiadomo było o co chodzi.

„Król dopalaczy” oparty jest na autentycznej historii sprzed lat, kiedy Polskę zalała fala legalnych substancji psychoaktywnych. Ty grasz chemika, który je produkuje. Maestro istniał w rzeczywistości? Nie wiem. Myślę, że musiał istnieć ktoś taki, kto to wszystko mieszał. (Śmiech) Nie było to jednak dla mnie istotne, by szukać pierwowzoru tej postaci i opierać się na kimś z realu, bo wystarczyło mi to, co znalazłem w scenariuszu.

Maestro ma żonę, dzieci i stabilną pracę, ale daje się namówić na zwariowany pomysł produkcji dopalaczy. Lubisz wcielać się w takie niejednoznacznie moralnie postaci?

Tak naprawdę każdy z bohaterów „Króla dopalaczy” jest niejednoznaczny moralnie i ma coś za kołnierzem. Maestro daje się wciągnąć w tę kałużę początkowo wbrew sobie. Potem największe wrażenie robi na nim aspekt finansowy tego przedsięwzięcia. (Śmiech)

Nadałeś postaci Maestro lekko szalony ton. Tak było w scenariuszu czy to twoja interpretacja?

Wydaje mi się, że coś musiało być w scenariuszu, skoro poszedłem w tę stronę. Pamiętam, że ciekawa była kwestia żony Maestro, która nie pojawia się na ekranie, a o której on

ciągle mówi. Najpierw się jej boi, a potem cieszy się, że jest zadowolona z faktu, że nagle lepiej się im powodzi. To chyba wyszło w trakcie naszych rozmów z reżyserem.

„Króla dopalaczy” zrealizował debiutant w fabule - Pat Howl. Ty jesteś aktorem z 25-letnim doświadczeniem. Praca z młodym reżyserem to dla ciebie odświeżające doświadczenie?

Nie miałem poczucia, że Pat jest początkującym reżyserem, bo wiedział co robi i ten film powstawał dokładnie w taki sposób, w jaki on sobie życzył i wymarzył. Czasem rzeczywiście zdarza się spotkania na planie kogoś niedoświadczonego, komu trzeba pomóc i wesprzeć go. Ale tu nie miałem takiego poczucia.

Twoim głównym partnerem w „Królu dopalaczy” jest gwiazdor młodego pokolenia - Tomasz Włosok. Zobaczyłeś w nim trochę siebie sprzed 20 lat?

Obserwuję wielu młodych aktorów, z którymi pracuję w fil-

mie i teatrze i mam wrażenie, że ci ludzie są o wiele bardziej świadomi tego, co robią niż ja w swoich początkach.

Z czego to wynika?

Kiedy zaczynałem grać w filmach, absolutnie nie byłem jeszcze osobą dojrzałą. Do tego inne były scenariusze i sposób pracy z aktorem. Teraz wszystko jest znacznie bardziej partnerskie. Nie mam najmniejszego powodu, aby narzekać na swe pierwsze filmy, zrealizowane z Marcinem Ziębińskim, Natalią Koryncką-Gruz czy innymi reżyserami, ale chyba wtedy zupełnie inaczej wyobrażałem sobie pracę na planie niż zobaczyłem na własne oczy, na czym ona polega.

Kiedyś powiedziałeś: „Trafiłem do aktorstwa trochę przez przypadek. To nie było moje marzenie”. Co to znaczy?

Gdy dostałem się do szkoły teatralnej, okazało się, że jestem otoczony ludźmi, którzy marzyli o aktorstwie od dziecka. Tymczasem moja decyzja o zdawaniu do akademii wyni-

kała z niewiedzy na temat tego, co chcę w życiu robić. Po maturze trafiłem do nauczycielskiego studium języków obcych w moim rodzinnym Opolu. Oczywiście czułem, że to nie jest to i powinienem poszukać czegoś innego. Ale te wszystkie etapy wchodzenia w zawód aktora - zdanie do szkoły teatralnej, pierwsza rola w filmie, etat w teatrze - choć stały się konsekwencją moich wyborów, były bardziej potwierdzeniem, że to słuszną drogą niż jakimś rodzajem walki o swoją przyszłość czy karierę. Po prostu byłem dobrze rozeznanym w swoich predyspozycjach - i intuicja pociągnęła mnie w tę stronę.

A co to były za predyspozycje?

Lubiłem występy na szkolnych akademiach, brałem udział w festiwalach artystycznych, byłem w uczniowskim kółku teatralnym. Od małego podobało mi się wcielanie w różne postaci. Suma tych wszystkich doświadczeń sprawiła, że ogłosiłem w domu, iż będę próbował zdawać do akademii teatralnej.

I jak rodzice zareagowali?

Ojciec powiedział: „No, ale może byś spróbował na prawo albo na dziennikarstwo?”. A ja na to: „Ale ja się nie interesuję ani prawem, ani dziennikarstwem”. Na co on: „A aktorstwem się interesujesz?”. (Śmiech) I tu miał rację. Bo ciężko było stwierdzić, że jestem jakimś zapalonym aktorem-amatorem i jest to jakaś wielka moja pasja.

Ale intuicja dobrze ci podpowiedziała, bo dostałeś się za pierwszym razem. Studiowanie aktorstwa w latach 90. wyglądało pewnie trochę inaczej niż dzisiaj. Dobrze wspominasz tamten czas?

Różnie. To była ciężka szkoła zawodowa. Bardzo dużo pracy, mało czasu na samorozwój, dużo technicznej nauki. Ja miałem taki problem, że rzadko znajdowałem tematy, które mnie osobiście interesowały. Często pracowałem w szkole nad rzeczami, których nie byłem w stanie do końca zrozumieć i to powodowało, że nie odczuwałem większej pasji. Dlatego nie miałem w szkole poczucia, że aktorstwo może być przyjemne. Raczej kojarzyło mi się ze strachem, bo nie mogłem zapomnieć, że jesteśmy poddani selekcji i część osób wyleci z uczelni. Z jednej strony szkoła dawała poczucie bezpieczeństwa i była jakimś kloszem, ale z drugiej ta presja była odczuwalna. Rzeczywistość potem zweryfikowała to, co działo się w akademii - i w moim przypadku na plus. Wtedy wreszcie poczułem radość z tego zawodu.

No właśnie: w 1999 roku pojawiłeś się w trzech głośnych fil-

mach - „Gniew”, „Billboard” i „Amok”. Jak to się stało?

Pod koniec pierwszego roku studiów, podobnie jak większość moich kolegów, poszedłem zapisać się do agencji aktorskiej. Zostawiłem swoje zdjęcia i CV - i kiedy byłem na drugim roku, udało mi się zdobyć rolę w „Gniewie”. A potem poszło dalej: kiedy na rynku pojawia się jakiś młody aktor, to z miejsca wzbudza zainteresowanie. Tak to się zaczęło. Ja tylko próbowałem pogodzić pracę ze szkołą, żeby z niej nie zrezygnować. I jakoś się udało.

Który z tych filmów był dla ciebie najważniejszy?

Myślę, że „Gniew”. Bo był dla mnie początkiem prawdziwego i potwierdzeniem moich wcześniejszych wyborów życiowych. Ten plan nie był łatwy, ale dobrze się na nim poczułem. Powstał kontrowersyjny film, który nie miał pozytywnych recenzji po premierze. Ale wspominam go dobrze. Generalnie jednak żałuję, że tak wcześnie zacząłem.

Dlaczego?

Bo tak jak mówiłem, nie miałem jeszcze pełnej świadomości zawodowej. Tak naprawdę nie wiem co się tam do końca wydarzyło podczas tych zdjęć do „Gniewu”. (Śmiech) Gdybym zaczął później, pewnie byłbym w stanie lepiej wykonać tamten czas. Tymczasem byłem wtedy totalnym dzieckiem. No ale było, jak było i już tego nie cofniemy.

Te trzy filmy przyniosły ci od razu dużą popularność. Jak sobie z tym poradziłeś?

To były czasy przed internetem. Dlatego ten mój początek był zupełnie inny niż początek młodych aktorów dzisiaj. Nie odczułem jakoś specjalnie tej swojej popularności. Oczywiście byłem zapraszany na festiwale, czytałem o sobie w magazynach filmowych, ale tylko tyle. Nie było to tak rozbu-chane jak dzisiaj.

Potem stałeś się ulubionym aktorem Przemysława Wojcieszka. Zagrałeś w jego dwóch ważnych filmach: „Głośniejszy od bomb” i „W dół kolorowym wzgórzem”. Mieiliście wyjątkowe porozumienie?

Udział w „Głośniejszy od bomb” okazał się dla mnie kluczowym momentem w karierze. Wtedy po raz pierwszy byłem w stanie w pełni podpisać się pod tym, co zrobiłem. Ten film był strzałem w dziesiątkę: w sensie atmosfery pracy na planie, tematyki i problemów. Dlatego autentycznie poczułem się częścią tego projektu. To oczywiście wszystko dzięki Przemkowi, który to wszystko napisał, wyreżyserował i wyprodukował. Podob-

*OBSERWUJĘ WIELU MŁODYCH
AKTORÓW I MAM WRAŻENIE,
ŻE CI LUDZIE SĄ O WIELE BARDZIEJ
ŚWIADOMI TEGO, CO ROBIĄ,
NIŻ JA W SWOICH POCZĄTKACH*

Mistrzowie Agro

ROLNIK ROKU



Jarosław Drogosz
Szymaki

LIDER/LIDERKA SPOŁECZNOŚCI LOKALNEJ



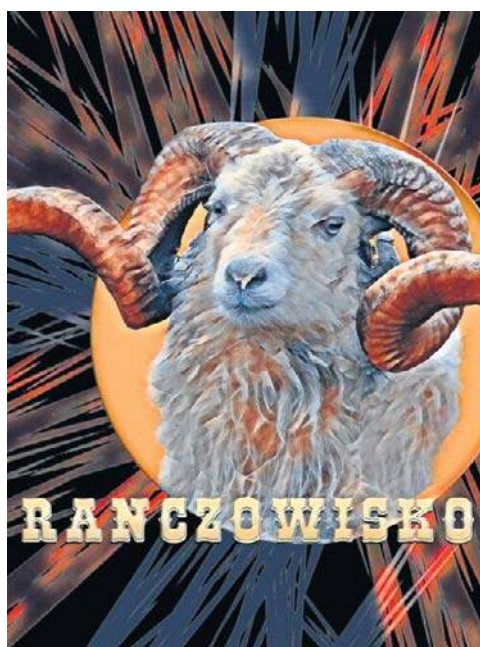
Wojciech Rogowski, Raszyn
Społeczny Komitet Ochrony Fałent

KOŁO GOSPODYŃ WIEJSKICH ROKU



KGW Chodkowo-Załogi
Płoniawy-Bramura

GOSPODARSTWO AGROTURYSTYCZNE ROKU



Ranczowisko
Cekanowo

SOŁTYS ROKU



Gabriela Dorota Molka
Sołectwo Aleksandrów, gmina Sanniki

SOŁECTWO ROKU



Sołectwo Bartosy
gmina Wąsewo

NADLEŚNICZY ROKU



Wojciech Kała
Nadleśnictwo Płońsk

Patroni honorowi:

Partnerzy plebiscytu:

Patronat regionalny:

MISTRZOWIE AGRO 2025 POZNAJ LAUREATÓW Z WOJEWÓDZTWA I KRAJU. ZOBACZ WIĘCEJ ZDJĘĆ Z GALI NA STREFAAGRO.PL

U honorowaliśmy Mistrzów, którzy tworzą polską wieś

Anna Bilka
oprac. ab

Podsumowaliśmy akcję Mistrzowie Agro 2025. Najlepsi sołtysi, rolnicy i liderzy społeczności odebrali nagrody za promowanie wsi. Tytuły powędrowały też do sołectw, KGW i agroturystyk.

Plebiscyt Mistrzowie Agro to wielka akcja prezentująca życie polskiej wsi i jej mieszkańców, ich działania i sukcesy. Kandydatów do nagród nominowali partnerzy, patroni akcji i dziennikarze, swoje propozycje mogli zgłaszać także Czytelnicy.

Zwycięzców nagrodziliśmy w sobotę, 14 marca, w Targach Kielce, podczas 31. Międzynarodowych Targów Techniki Rolniczej Agrotech 2026 i 25. Targów Przemysłu Drzewnego i Gospodarki Zasobami Leśnymi Las-Expo.

Podczas gali uhonorowaliśmy laureatów w siedmiu plebiscytowych kategoriach w każdym województwie (pełną listę laureatów wojewódzkich plebiscytu Mistrzowie AGRO 2025 znajdziesz na naszej stronie internetowej).

Nagrodziliśmy też laureatów ogólnopolskich w każdej z kategorii. Oto oni!

Rolnik Roku - I miejsce: Rafał Kaleciński, Galonki (woj. łódzkie), II miejsce: Krystyna Tkaczyk, Krasne (woj. lubelskie), III miejsce: Izabela i Mateusz Osajda, Przykona (woj. wielkopolskie).

Sołtys Roku - I miejsce: Ewa Krasowska, Sołectwo Nowosiedlice, gmina Dobroszyce (woj. dolnośląskie), II miejsce: Gabriela Dorota Molka, Sołectwo Aleksandrów, gmina Sanniki (woj. mazowieckie), III miejsce: Jan Trzybiński, Sołectwo Żębów, gmina Lwówek (woj. wielkopolskie).

Liderka/Lider Społeczności - I miejsce: ks. dr Grzegorz Kaliszewski, Złota (woj. świętokrzyskie), II miejsce: Krzysztof Ksobiak, Występ, Zakład Karny w Potulicach (woj. kujawsko-pomorskie), III miejsce: Teresa Richoz, Fundacja Biegamy Polesie z Polesia (woj. łódzkie).

Nadleśniczy Roku - I miejsce: Grzegorz Wojtanowski, Nadleśnictwo Gromnik (woj. małopolskie), II miejsce: Maciej Młynarczyk, Nadleśnictwo Człopa (woj. zachodniopomorskie), III miejsce: Jacek Śliwiński, Nadleśnictwo Gubin (woj. lubuskie).

Koło Gospodyń Wiejskich - I miejsce: KGW Dziewczyny z Pazurze Czerwona Wola, gmina Sieniawa (woj. podkar-

packie), II miejsce: KGW Złoty Kłos, gmina Wołów (woj. dolnośląskie), III miejsce: KGW Masłowianki Masłowo, gmina Rawicz (woj. wielkopolskie).

Agroturystyka Roku - I miejsce: Kraina Dolnej Wisły, Zła Wieś (woj. kujawsko-pomorskie), II miejsce: Agroturystyka JUDYTA, Korfantów (woj. opolskie), III miejsce: Agroturystyka Domek Młynarza, Osola (woj. dolnośląskie).

Sołectwo Roku - I miejsce: Sołectwo Przysietnica, gmina Brzozów (woj. podkarpackie), II miejsce: Sołectwo Włocin-Kolonia, gmina Błaszki (woj. łódzkie), III miejsce: Sołectwo Pazurek, gmina Olkusz (woj. małopolskie).

Gałę uświetniło też wielu innych wspaniałych gości

Mistrzom Agro gratulowali między innymi: poseł Henryk Smolarz, Renata Janik (marszałek województwa świętokrzyskiego), Andrzej Mochoń (prezes Targów Kielce SA), Dariusz Kołacz (prezes Makroregionu Południe Polska Press Grupy) oraz Rafał Piasecki (dyrektor marketingu Polska Press Grupy) i Kamila Kalinowska (koordynatorka plebiscytu). Gałę ze swadą poprowadziła Anna Gleisner.

Nowością podczas wydarzenia była nagroda dla Nadleśniczego Roku. Ten tytuł otrzymał Grzegorz Wojtanowski z Nadleśnictwa Gromnik. - To ogromne wyróżnienie dla całego nadleśnictwa, którym mam zaszczyt kierować, wszystkich jego pracowników. To też docenienie pracy i wszystkiego, co robimy dla polskich lasów - mówił laureat.

Nie zabrakło też artystycznego akcentu. Na scenie zaprezentowało się Koło Gospodyń Wiejskich Dziewczyny z Pazurze Czerwonej Woli w gminie Sieniawa na Podkarpaciu. Panie specjalnie z okazji gali Mistrzów Agro przygotowały trzy pełne humoru utwory. Publiczność bawiła się doskonale!

Gala była również okazją do ważnych rozmów dotyczących rolnictwa. W Targach Kielce odbyła się debata „Rolnictwo w rytmie intensywnych zmian. Co dziś oznacza nowoczesność w gospodarstwie?”. Gośćmi Agaty Wodzień-Nowak, redaktor serwisu StrefaAgro.pl, byli: dr Jacek Skudlarski (wykładowca ze Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie), Agata Stachowiak (rolniczka „Księżowa Rolnika”), Agnieszka Pietrzak (dyrektor Świętokrzyskiego Ośrodka Doradztwa Rolniczego), dr Andrzej Mochoń (prezes Targów Kielce SA).





ROLNIK ROKU MIEJSCE I

Jarosław
Drogosz

Jarosław Drogosz (Szymaki) od lat zajmuje się hodowlą bydła mlecznego oraz uprawą roślin, kontynuując tradycję, z którą związany jest od dzieciństwa. - Zawsze uprawa roślin sprawiała mi wielką radość, gdy mogłem zasiewać ziarna, pielęgnować je, a później zbierać plony. Równolegle hodowla bydła towarzyszyła mi od dzieciństwa i tak pozostało do dnia dzisiejszego - opowiada. Każdy dzień ma tu swój ustalony porządek i zaczyna się punktualnie. Praca

w gospodarstwie wypełnia czas od rana do wieczora, niezależnie od sezonu. - Każdy dzień zaczyna się o 8 rano, jest wypełniony intensywną pracą, począwszy od czynności związanych z hodowlą bydła mlecznego, a w czasie sezonu uprawy roślin - od prac zasiewu i pielęgnacji aż po zbiory - mówi. Jak podkreśla, na przestrzeni lat wiele się zmieniło - zarówno w zakresie maszyn wykorzystywanych w produkcji roślinnej, jak i systemów obsługi bydła mlecznego. Niezmienna pozostała jednak samodyscyplina i odpowiedzialność, które są fundamentem codzien-



nej pracy. - Niezależnie od pogody, pory roku i dni świątecznych musimy pracować. Jeśli nie na gruntach, to w budynku inwentarskim, każdego dnia - zaznacza. Choć praca w gospodarstwie nie pozostawia wiele wolnego czasu, Jarosław Drogosz chętnie wykorzystuje go na podróże. Wraz z żoną odwiedził wiele krajów, zarówno w Europie, jak i poza nią, mając okazję obserwować różne sposoby uprawy roślin na świecie. To doświadczenie pozwala spojrzeć na codzienną pracę z szerszej perspektywy i docenić to, co od pokoleń budowane jest w rodzinnym gospodarstwie.

MIEJSCE II

Bartosz
Wieczorek

Bartosz Wieczorek z Przasnysza to laureat kategorii Rolnik Roku, ale przede wszystkim osoba aktywnie zaangażowana w działalność społeczną. Jest związany z rodzinnym gospodarstwem rolnym, w którym od najmłodszych lat poznawał realia pracy na wsi, ucząc się szacunku do natury, ziemi i pracy rolnika. Dorastanie w środowisku rolniczym ukształtowało Jego podejście do życia

oraz zainteresowanie rozwojem obszarów wiejskich i lokalnych społeczności. Mimo młodego wieku aktywnie angażuje się w inicjatywy społeczne, interesuje się sprawami mieszkańców i chętnie uczestniczy w działaniach na rzecz rozwoju swojego regionu. Interesuje się sprawami lokalnymi, wspiera inicjatywy społeczne oraz aktywizuje mieszkańców do udziału w działaniach na rzecz swojej społeczności. W 2024 roku kandydował do Rady Powiatu Przasnyskiego z ramienia Komitetu Wyborczego Wyborców „Razem dla Przasnysza. Był jednym z najmłodszych kandydatów - w chwili wyborów miał 18 lat. Choć nie uzyskał mandatu radnego, sam udział w wyborach pokazał Jego zaangażowanie w sprawy publicznej oraz chęć działania na rzecz lokalnej społeczności.



MIEJSCE III

Marcin
BoczekMistrzowie
AGRO

III miejsce w kategorii Rolnik Roku w naszym województwie zajął Marcin Boczek z miejscowości Mokrosęk. Wyróżnienie w naszym plebiscycie zdobywają osoby, które z pasją i determinacją pracują na rzecz rolnictwa i swojej społeczności, często bez rozgłosu, ale z dużym zaangażowaniem i odpowiedzialnością. Takim właśnie rolnikiem jest Marcin Boczek, a Jego wysokie miejsce w plebiscycie stanowi potwierdzenie docenienia codziennej pracy, wytrwałości oraz wkładu w rozwój polskiej wsi.

SOŁTYS ROKU MIEJSCE I

Gabriela Dorota
Molka

Nie planowała tej drogi, a jednak to ona stała się Jej codziennością na długie lata. Gabriela Dorota Molka, Aleksandrów, gmina Sanniki, została wybrana na sołtysa w 2007 roku, startując w wyborach jako kontrkandydat. Jak przyznaje, dopiero z czasem odkryła w sobie pasję i zaangażowanie w działania społeczne, które towarzyszą Jej już od 18 lat. - Przez te lata odkrywałam w sobie pasję i zaangażowanie w działania społeczne, które przynoszą mi wiele radości i satysfakcji - mówi.

Motyacją do dalszej pracy jest dla Niej przede wszystkim wsparcie mieszkańców oraz dobra współpraca z Urzędem Miasta i Gminy w Sannikach. To właśnie wspólne działania pozwoliły zrealizować jedną z najważniejszych inwestycji w historii sołectwa. - Naszym potężnym osiągnięciem jest wybudowanie od podstaw Świetlicy Wiejskiej w Aleksandrowie - podkreśla. Jak zaznacza, praca sołtysa niesie ze sobą nie tylko sukcesy, ale również trudniejsze momenty. Zdarza się, że nie wszyscy mieszkańcy angażują się w podejmowane



inicjatywy, co bywa źródłem smutku. Jednocześnie ogromną radość dają osiągnięte cele, nawet jeśli ich realizacja wymagała pokonania wielu przeszkód. W swoich działaniach stawia na pokazywanie sensu wspólnej pracy i korzyści płynących z zaangażowania na rzecz miejscowości. Aktywnie działa także jako przewodnicząca Koła Gospodyń Wiejskich „Aleksandrowianki”, oddając się inicjatywom, które promują i służą rozwojowi Aleksandrowa. Jak wynika z Jej słów, to właśnie wspólne działanie i troska o lokalną społeczność są fundamentem Jej wieloletniej pracy.

MIEJSCE II

Andrzej
Kosieradzki

Andrzej Kosieradzki jest sołtysiem sołectwa Chmielew w gminie Sokołów Podlaski i osobą aktywnie zaangażowaną w życie lokalnej społeczności. Jest także laureatem II miejsca w naszym plebiscycie w kategorii Sołtys Roku. Jako przedstawiciel mieszkańców zajmuje się sprawami sołectwa, realizacją przedsięwzięć w ramach funduszu sołectkiego, współpracuje z władzami samorządowymi oraz wspiera inicjatywy mające na celu rozwój miejscowości i poprawę warunków życia jej mieszkańców. Sołectwo, którym zarządza to niewielka wieś, która jednak aktywnie uczestniczy w wydarzeniach kulturalnych i społecznych. W miejscowości organizowane są inicjatywy integrujące mieszkańców, takie jak wydarzenia promujące lokalne tradycje, a wyremontowana świetlica wiejska pełni funkcję centrum życia społecznego i kulturalnego wsi. Sołectwo odnosi także sukcesy w konkursach związanych z tradycją ludową - mieszkańcy zdobywali m.in. pierwsze miejsce w konkursie na najładniejszy wieniec dożynkowy, co podkreśla ich zaangażowanie w pielęgnowanie kultury i obyczajów regionu.



MIEJSCE III

Marek
Ruśkowski

Marek Ruśkowski (Stara Wieś, gmina Celestynów) zanim objął funkcję sołtysa, przez dwie kadencje działał w Radzie Sołectkiej, poznając potrzeby i codzienne sprawy swojej miejscowości. - Decyzja o kandydowaniu na sołtysa zrodziła się przede wszystkim z potrzeby realnego działania na rzecz naszej miejscowości - opowiada. Jak podkreśla, z czasem praca społeczna zaczęła Go coraz bardziej fascynować i naturalnym krokiem było podjęcie decyzji o kandydowaniu na urząd sołtysa, by jeszcze skuteczniej wspierać mieszkańców i wspólnie z nimi rozwijać Starą Wieś. - Najbardziej uświadamiają mi sens tego, co robię, sytuacje, gdy widzę realną poprawę u drugiego człowieka, gdy ktoś mówi „to naprawdę mi pomogło”, albo kiedy podczas wydarzeń kulturalnych ludzie się spotykają, integrują i pytają: „To kiedy następne?” - mówi. Nie ukrywa, że pełnienie funkcji sołtysa wiąże się również z trudniejszymi doświadczeniami. Negatywne komentarze, choć nieliczne, potrafią być bolesne, zwłaszcza gdy w pracę wkłada się dużo serca i czasu. Jednocześnie to właśnie pozytywny odbiór działań przez większość mieszkańców daje Mu energię do dalszego działania.



LIDERKA/LIDER SPOŁECZNOŚCI ROKU MIEJSCE I

Wojciech Rogowski

Wojciech Rogowski (Raszyn, Społeczny Komitet Ochrony Falent) zwyciężył w plebiscycie Mistrzowie Agro. Jak mówi, wyróżnienie jest dla Niego miłą niespodzianką, ale także szansą na zwrócenie większej uwagi na gminę Raszyn - jej walory przyrodnicze, zabytki oraz wyzwania związane z rozwojem regionu. Od wielu lat angażuje się w popularyzowanie historii i tożsamości lokalnej społeczności. Łączy wiedzę akademicką z pasją do lokalności, zachęcając mieszkańców do poznawania i ochrony miejsca, w którym żyją. Swoje zainteresowania i badania przekłada na działalność popularyzatorską - publikuje artykuły w prasie lokalnej oraz prowadzi wykłady w Bibliotece Gminnej, przybliżając historię Raszyna i okolic. Ważnym elementem Jego aktywności są także spotkania organizowane w czasie Świąta Niepodległości, podczas których wspólnie z mieszkańcami odkrywają lokalne wątki historyczne. Reprezentując Społeczny Komitet Ochrony Falent, przyczynił się do działań, które wpły-



nęły na lepszą ochronę Rezerwatu Przyrody w Falentach. Do osiągnięć Komitetu należy również uratowanie zabytkowej oficyny dworskiej - miejsca urodzenia Magdaleny Abakanowicz, światowej sławy polskiej rzeźbiarki. Od pięciu lat współorganizuje Eko-pikniki dla Rezerwatu w Falentach, które stały się przestrzenią spotkań mieszkańców, wydarzeń kulturalnych oraz działań promujących ochronę środowiska. Jego wieloletnia aktywność społeczna zaowocowała startem w wyborach samorządowych i uzyskaniem mandatu radnego gminy Raszyn.

MIEJSCE II

Marcin Brewczyński

Chęć realnego wpływu na otoczenie, w którym żyje, stała się początkiem zaangażowania społecznego Marcina Brewczyńskiego (Łyse, Gminny Ośrodek Kultury, Sportu i Rekreacji). Zawsze uważałem, że jeśli widzimy potrzeby wokół siebie i mamy możliwość coś zmienić na lepsze, to warto działać - mówi. Z czasem aktywność społeczna stała się dla Niego czymś naturalnym i - jak za-



znacza - dającym dużą satysfakcję. - Największą motywacją jest dla mnie uśmiech i wdzięczność mieszkańców oraz poczucie, że razem budujemy silną i zgraną społeczność - podkreśla. W swoich działaniach stawia na odpowiedzialność za miejsce, w którym się żyje, oraz na przekazywanie wartości związanych ze współpracą, wzajemnym szacunkiem i pomocą innym. Szczególnie znaczenie ma dla Niego inspirowanie młodszych pokoleń i pokazywanie, że każdy może mieć realny wpływ na swoje otoczenie. - Chcę uczyć, że zaangażowanie społeczne ma sens i że każdy, niezależnie od wieku czy możliwości, może zmieniać swoje otoczenie na lepsze - zaznacza. Jak dodaje, marzy o tym, aby Jego miejscowość była postrzegana jako przestrzeń przyjazna, otwarta i pełna życzliwych ludzi.

MIEJSCE III

Marzena Grzymkowska

Marzena Grzymkowska (Kraszewo) to osoba, która z powodzeniem łączy pracę zawodową z działalnością społeczną. Na co dzień pracuje jako nauczyciel przyrody i geografii, a pasję do poznawania świata rozwija również poprzez podróże, które pozwalają Jej czerpać inspirację do dalszej pracy i aktywności.



Od wielu lat angażuje się w działania na rzecz lokalnej społeczności, uczestnicząc w inicjatywach społecznych i akcjach charytatywnych. Pełni funkcję przewodniczącej Koła Gospodyń Wiejskich „Kraszewianki” w Kraszewie, gdzie z dużym zaangażowaniem koordynuje działalność organizacji, wspierając integrację mieszkańców oraz rozwój lokalnych inicjatyw.

W swojej pracy stawia na współpracę i budowanie relacji między mieszkańcami, pokazując, że wspólne działania mogą przynosić realne efekty. Jej aktywność w KGW łączy pielęgnowanie tradycji z nowoczesnym podejściem do działalności społecznej, a zaangażowanie i otwartość na ludzi sprawiają, że pozostaje ważną postacią w życiu lokalnej społeczności.

NADLEŚNICZY ROKU MIEJSCE I

Wojciech Kała

Wojciech Kała (Nadleśnictwo Płońsk) od lutego 2024 roku pełni funkcję nadleśniczego Nadleśnictwa Płońsk, wnosząc do swojej pracy wieloletnie doświadczenie zawodowe oraz szeroką wiedzę z zakresu gospodarki leśnej. Jest absolwentem Wydziału Leśnego Akademii Rolniczej w Krakowie oraz studiów podyplomowych „Zrównoważone użytkowanie obszarów leśnych w rozwoju regionalnym”. Z Nadleśnictwem Płońsk związany był już wcześniej, pracując w tej jednostce w latach 1998-2002 oraz 2005-2013. Następnie zdobywał doświadczenie jako inżynier nadzoru w Nadleśnictwie Celestynów, a od 2019 roku pracował w Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Warszawie, gdzie pełnił funkcję naczelnika Wydziału Gospodarki Leśnej. Jako nadleśniczy odpowiada za funkcjonowanie Nadleśnictwa Płońsk. Zarządza rozległymi terenami leśnymi obejmującymi ponad 11 tysięcy hektarów lasów państwowych oraz podobną powierzchnię



lasów niestanowiących własności Skarbu Państwa. W swojej pracy Wojciech Kała ceni sumienność i uczciwość, traktując je jako fundament skutecznego zarządzania. Podkreśla, że osiągnięcia nadleśnictwa są efektem codziennej, konsekwentnej pracy całego zespołu, którego działania koncentrują się na ochronie lasów, przyrody oraz współpracy z lokalną społecznością. Prywatnie rozwija swoje pasje kolekcjonerskie, gromadząc monety i znaczki, a wolny czas chętnie spędza przy grze w brydża.

MIEJSCE II

Waldemar Jabłoński

Waldemar Jabłoński (Nadleśnictwo Radziwiłłów) kieruje całokształtem działalności Nadleśnictwa Radziwiłłów, odpowiadając za prowadzenie gospodarki leśnej, ochronę przyrody oraz organizację pracy jednostki. Swoją funkcję pełni z wieloletnim doświadczeniem, łącząc wiedzę zawodową z pasją do pracy w lesie i na rzecz środowiska naturalnego. Od lat angażuje się w działania związane z odpowiedzialnym zarządzaniem zasobami leśnymi, dbając nie tylko o kondycję lasów, ale także o bezpieczeństwo mieszkańców i rozwój lokalnej społeczności. W Nadleśnictwie Radziwiłłów duży nacisk kładzie się na zachowanie równowagi pomiędzy funkcjami przyrodniczymi, społecznymi i gospodarczymi lasów, co przekłada się na sposób prowadzenia codziennych działań. Jak podkreśla, las nie potrzebuje wielu słów, lecz odpowiedzialnych ludzi, którzy potrafią o niego zadbać. To podejście widoczne jest w Jego pracy, opartej na konsekwencji, zaangażowaniu i szacunku do natury. Nadleśnictwo Radziwiłłów pozostaje dzięki temu miejscem, w którym tradycja gospodarki leśnej łączy się z troską o środowisko i potrzeby mieszkańców regionu.



MIEJSCE III

Marek Roman

Marek Roman (Nadleśnictwo Drewnica) od lutego 2025 roku pełni funkcję nadleśniczego Nadleśnictwa Drewnica, obejmując stanowisko z bogatym doświadczeniem zawodowym i szerokim przygotowaniem merytorycznym. Jest absolwentem Technikum Leśnego w Warcinie oraz Wydziału Leśnego Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie. Ukończył także studia podyplomowe z zakresu Oceny i Wyceny Zasobów Przyrodniczych, Zamówień Publicznych oraz Executive Master of Business Administration MBA.



Swoją karierę zawodową rozpoczął od stażu w Nadleśnictwie Sławno, następnie pracował jako starszy referent oraz podinspektor w dziale lasów w Zarządzie Oczyszczania m.st. Warszawy. W latach 2007-2015 rozwijał doświadczenie w Lasach Miejskich w Warszawie, gdzie pełnił funkcje związane z zagospodarowaniem rekreacyjnym lasów, gospodarką leśną oraz zarządzaniem jednostką, dochodząc do stanowiska zastępcy dyrektora. Przez ostatnie osiem lat kierował Regionalną Dyrekcją Lasów Państwowych w Warszawie jako jej dyrektor.

KOŁO GOSPODYŃ WIEJSKICH MIEJSCE I

KGW Chodkowo-Załogi

Z potrzeby bycia razem i wspólnego działania narodziło się KGW Chodkowo-Załogi (Płoniawy-Bramura). O początkach i codziennym sensie działalności Koła opowiada Jego prezeska Katarzyna Chodkowska, podkreślając, że od samego początku kluczowe były relacje między ludźmi. - Impulsem do powstania naszego Koła była przede wszystkim potrzeba działania razem, wspólne spędzanie czasu i tworzenie pięk-



nych inicjatyw. Dziś koło napędzają ludzie i ich pasja i zaangażowanie, widzimy, że to, co robimy, ma sens - mówi. Choć Koło działa dopiero od dwóch lat i jest niewielkie, już może pochwalić się znaczącym sukcesem - zwycięstwem w naszym plebiscycie na etapie województwa mazowieckiego. Jak zaznacza prezeska, to najlepszy dowód na to, że wspólnota i współpraca mają ogromną siłę. Największą dumą członkiń jest jednak nie sam wynik, a atmosfera, którą udało się zbudować. Zaufanie, wzajemny szacunek i współpraca sprawiają,

że z każdym rokiem pojawiają się kolejne pomysły i cele do realizacji. Dziś KGW Chodkowo-Załogi pełni ważną rolę w życiu lokalnej społeczności, łącząc ludzi i inicjując wspólne działania na rzecz wsi. - Nasze Koło nie jest tylko organizacją na papierze, ale żywym elementem naszego lokalnego życia, który pomaga, inspirować i zachęca do wspólnego działania - zaznacza Katarzyna Chodkowska. Jak dodaje, wspólna praca daje coś znacznie więcej niż realizację zadań - dobrą energię i poczucie, że wszyscy robią coś razem, a nie obok siebie.

MIEJSCE II

KGW Borowianki znad Mogielanki w Borowem



Koło Gospodyń Wiejskich „Borowianki znad Mogielanki” (Borowe, gmina Mogielnica) to młoda, ale niezwykle aktywna organizacja, która w krótkim czasie stała się ważnym elementem życia lokalnej społeczności. Działając od dwóch lat, członkinie i członkowie Koła postawili przede wszystkim na integrację międzypokoleniową, łącząc mieszkańców wokół wspólnych działań i tradycyjnej kuchni. Początkiem ich działalności było wspólne lepienie pierogów i przygotowywanie krokieci. Z czasem, z początkową nieśmiałością, zaczęli prezentować swoje wyroby podczas lokalnych festynów. Szybko okazało się, że tradycyjne smaki przygotowywane z zaangażowaniem i sercem spotkały się z ogromnym zainteresowaniem. Oprócz licznych gratulacji zaczęły pojawiać się także zamówienia świąteczne, co potwierdziło, że kulinarna pasja stała się rozpoznawalnym znakiem Koła. Borowianki znad Mogielanki aktywnie organizują wydarzenia integrujące mieszkańców, takie jak „Święto pieczonego ziemniaka i jabłka”, andrzejkę, zabawa sylwestrowa czy bal maskowy.

MIEJSCE III

KGW Dziarskie Babki



- Impulsem do powstania i rozwoju naszego Koła była potrzeba integracji mieszkańców wsi, zwłaszcza że pojawiło się u nas trochę nowych ludzi. Chcieliśmy się poznać, wyjść z anonimowości, stworzyć przestrzeń do spotkań i wspólnego działania niezależnie od wieku - podkreśla Sylwia Gutkowska z KGW Dziarskie Babki (gmina Wiśniewo). Dziś siłą Koła są ludzie - liczne i różnicowane wiekowo grono, w którym spotykają się kobiety i mężczyźni, młodszy i starszy, połączeni chęcią wspólnego działania. - Motywuje nas organizowanie imprez dla zabawy i rozrywki, działania charytatywne, wspólne gotowanie, lepienie pierogów i dzielenie się przepisami. Ważne jest dla nas kultywowanie tradycji, wzajemna pomoc i wsparcie - mówi. KGW Dziarskie Babki pełni rolę przestrzeni wzajemnego wsparcia, w której - jak podkreśla - można liczyć na pomoc, dobre słowo i zrozumienie. To sprawia, że Koło stało się ważnym elementem budowania poczucia przynależności i wspólnotowości do życia lokalnej społeczności. Wspólne inicjatywy przynoszą radość ze spędzania czasu razem i satysfakcję z bycia potrzebnym.

AGROTURYSTYKAROKU MIEJSCE I

Ranczowisko Cekanowo

Ranczowisko (Cekanowo) zwyciężyło w plebiscycie w kategorii Agroturystyka Roku, co dla gospodarzy było ogromnym zaskoczeniem, a jednocześnie wielkim wyróżnieniem. Powstało z pasji i miłości do zwierząt oraz z potrzeby stworzenia miejsca, w którym Goście mogą odpocząć blisko natury i spędzić czas w wyjątkowej atmosferze. Ranczowisko to przestrzeń, w której wypoczynek łączy się z możliwością poznawania świata



zwierząt. Gospodarstwo powstało z myślą o wspólnym spędzaniu czasu, rodzinnych spotkaniach i aktywnym wypoczynku z dala od miejskiego zgiełku. Na odwiedzających czekają liczne gry i zabawy przygotowane przez gospodarzy, dzięki którym zarówno dzieci, jak i dorośli mogą spędzić czas w ruchu i dobrej atmosferze. Zajęcia prowadzi pasjonat zwierząt, z wykształcenia pedagog i wieloletni hodowca, który swoją wiedzą i doświadczeniem dzieli się z odwiedzającymi. Jego zaangażowanie sprawia, że spotkania ze zwierzętami mają nie

tylko charakter rekreacyjny, lecz także edukacyjny, pozwalając lepiej poznać zwyczaje i potrzeby poszczególnych gatunków. Na terenie Ranczowiska mieszkają m.in. kozy kameruńskie miniaturki, owce rasy quessant, mikroświniki angielskie, jenoty, nutrie amerykańskie, skunksy, lis polarny, ostronos rudy, jeżozwierz, króliki, drób ozdobny, emu, daniela, muflon oraz krowa. Różnorodność zwierząt sprawia, że każda wizyta staje się wyjątkowym doświadczeniem i okazją do bezpośredniego kontaktu z przyrodą.

MIEJSCE II

Agroturystyka Zdrowo przez sad

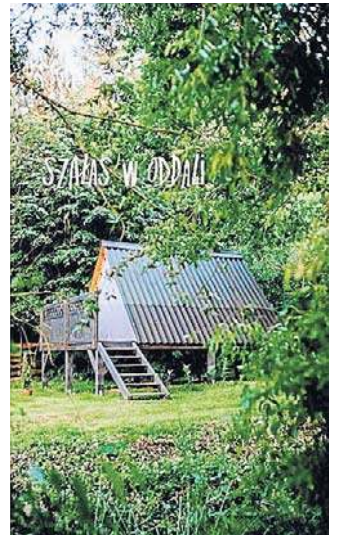
Agroturystyka Zdrowo przez Sad (Brzezinki) to kameralne miejsce stworzone dla osób szukających prawdziwego odpoczynku blisko natury. Otoczona lasem i sadami, pozwala zwolnić tempo i cieszyć się ciszą, śpiewem ptaków oraz zapachem owoców dojrzewających w ogrodzie. To idealna przestrzeń zarówno na rodzinny wypoczynek, jak i spokojny wyjazd we dwoje. Goście mogą korzystać z komfortowych noclegów, licznych miejsc relaksu wśród zieleni, dwóch dużych placów zabaw dla dzieci oraz przytulnej świetlicy z atrakcjami na każdą pogodę. Dorośli mają możliwość aktywnego wypoczynku podczas spacerów, wycieczek rowerowych czy warsztatów tematycznych, a także relaksu w hamakach, na tarasie lub w ogrodowej altanie. Agroturystyka oferuje także możliwość udziału w życiu gospodarstwa, ognisk i grillowania, a także organizacji kameralnych uroczystości rodzinnych. Miejsce wyróżnia ekologiczne podejście do życia - dbałość o bioróżnorodność, własne uprawy, wykorzystanie deszczówki i troska o środowisko.



MIEJSCE III

Siedlisko Raz się żyje - Glamping

- Zapraszamy do miejsca, dla którego wyróciliśmy nasze dotychczasowe warszawskie życie do góry nogami, podążając za maksymą: a, raz się żyje - opowiada Magda Szczepek z Siedliska Raz się żyje - Glamping (Wierzbno). To glamping w szałasach - wymyślonych, zaprojektowanych i zbudowanych osobiście przez gospodarzy. Jak zaznacza właścicielka, na Gości czeka pięć klimatycznych, drewnianych szałasów oraz wspólna przestrzeń, która sprzyja wypoczynkowi i integracji. - Nasze szałasowe glampingowe wyposażenie we wszystko, co niezbędne, żeby wygodnie odpocząć. Przygotowaliśmy też wspólną, pełną infrastrukturę kuchenną i sanitarną - podkreśla. W sercu siedliska znajduje się stara stodoła, którą - jak opowiada - gospodarze własnoręcznie rozebrali w sąsiedniej wsi, przewieźli na wozie pożyczonym od sąsiada i złożyli od nowa. To tam mieści się jadalnia, salon, w pełni wyposażona kuchnia oraz łazienki. Do dyspozycji Gości są także kuchnia letnia, miejsce na ognisko, grill, kuchnia na drewno, kociołek, balia pod jabłonią, wypożyczalnia rowerów, leżaki, hamaki, gry, boisko do badmintonu i biblioteczka.



SOŁECTWOROKU MIEJSCE I

Sołectwo Bartosy, gmina Wąsewo

Spokój, bliskość natury i silne więzi międzyludzkie – tak opisywane jest Sołectwo Bartosy (gmina Wąsewo). O miejscu, które łączy tradycyjny rytm życia z poczuciem wspólnoty, opowiada Izabela Wyzńska, zwracając uwagę na wyjątkowy klimat tej niewielkiej miejscowości. – Sołectwo Bartosy, położone w gminie Wąsewo, to spokojna i malownicza miejscowość położona w północno-wschodniej części województwa mazowieckiego,



która zachwyca naturalnym krajobrazem oraz kameralną, wiejską atmosferą – mówi. Jak podkreśla, Bartosy otoczone są lasami, łąkami i polami uprawnymi, co sprawia, że są idealnym miejscem dla osób ceniących ciszę, przestrzeń i bliskość przyrody. To tutaj codzienność wyznacza naturalny rytm, a zmieniające się pory roku tworzą wyjątkowy klimat. – To miejsce, gdzie czas płynie spokojniej, a przyroda opowiada swoją najpiękniejszą historię. Tu każdy poranek wita śpiewem ptaków, a wieczory otula delikatna mgiełka nad łąkami i stawami – podkreśla

Izabela Wyzńska. W Jej opowieści ważne miejsce zajmują także mieszkańcy sołectwa, którzy tworzą zżyłą i gościnną społeczność. Pielęgnowanie lokalnych tradycji, sąsiedzkich więzi oraz wzajemnej pomocy sprawia, że Bartosy zachowały swój autentyczny, wiejski charakter. – Mieszkańcy sołectwa tworzą zżyłą i gościnną społeczność, pielęgnując lokalne tradycje, zwyczaje i sąsiedzkie więzi. To miejsce, w którym wciąż żywe są wartości takie jak wzajemna pomoc, szacunek do pracy na roli oraz przywiązanie do rodzinnej ziemi – zaznacza.

MIEJSCE II

Sołectwo Damiany, gmina Czerwin

Sołectwo Damiany (gmina Czerwin) to miejscowość silnie zakorzeniona w kulturze kurpiowskiej, o której z dumą opowiada Monika Romanowska. – Sołectwo Damiany położone jest w północnej części województwa mazowieckiego w powiecie ostrołęckim w gminie Czerwin u podnóża Puszczy Białej i Zielonej. Etnograficznie nasza miejscowość należy do Kurpi, które cha-



rakteryzują się głęboko zakorzenioną kulturą regionalną. Kulturowanie tradycji i przekazywanie jej z pokolenia na pokolenie jest dla naszej miejscowości bardzo istotne – podkreśla. Jak zaznacza, położenie na obszarze Niziny Mazowieckiej sprzyja rozwojowi rolnictwa, które stanowią główne źródło utrzymania wielu rodzin. Produkcja mleka oraz uprawa zbóż od lat wyznaczają rytm codziennego życia mieszkańców. – Mamy ogromny przywilej mieszkania na obszarze Niziny Mazowieckiej, która charakteryzuje się rozległymi i płaskimi terenami. Położenie geograficzne sprzyja rozwojowi rolnictwa w sektorze produkcji mleka oraz uprawy zbóż – mówi. W Damianach duży nacisk kładzie się na integrację i wspólne pielęgnowanie lokalnych zwyczajów.

MIEJSCE III

Sołectwo Dzierżążnia, gmina Dzierżążnia

Spokojna, zadbana i silnie związana ze swoimi mieszkańcami – taka jest Sołectwo Dzierżążnia (gmina Dzierżążnia). – Dzierżążnia to wieś położona w województwie mazowieckim, w powiecie płońskim. Jest siedzibą administracyjną gminy Dzierżążnia i leży około 11 km na zachód od Płońska oraz około 70 km na północny zachód od Warszawy – mówi Katarzyna Cy-



wińska. Jak zaznacza, miejscowość ma typowo wiejski, rolniczy charakter, a jednocześnie pełni ważną funkcję lokalnego centrum. Skupia podstawowe instytucje, które na co dzień służą mieszkańcom i integrują życie społeczne. – Dzierżążnia stanowi lokalne centrum gminy. Znajdują się tu Urząd Gminy, poczta, jednostka OSP KSRG, szkoła, ośrodek zdrowia i sklepy, co czyni ją ważnym punktem lokalnej społeczności – podkreśla Katarzyna Cywińska. Sołectwo wyróżnia się tym, że mimo niewielkich rozmiarów zachowało autentyczny, tradycyjny charakter mazowieckiej wsi. To właśnie ta prostota i naturalność sprawiają, że jest miejscem przyjaznym zarówno dla mieszkańców, jak i dla osób przyjezdnych.

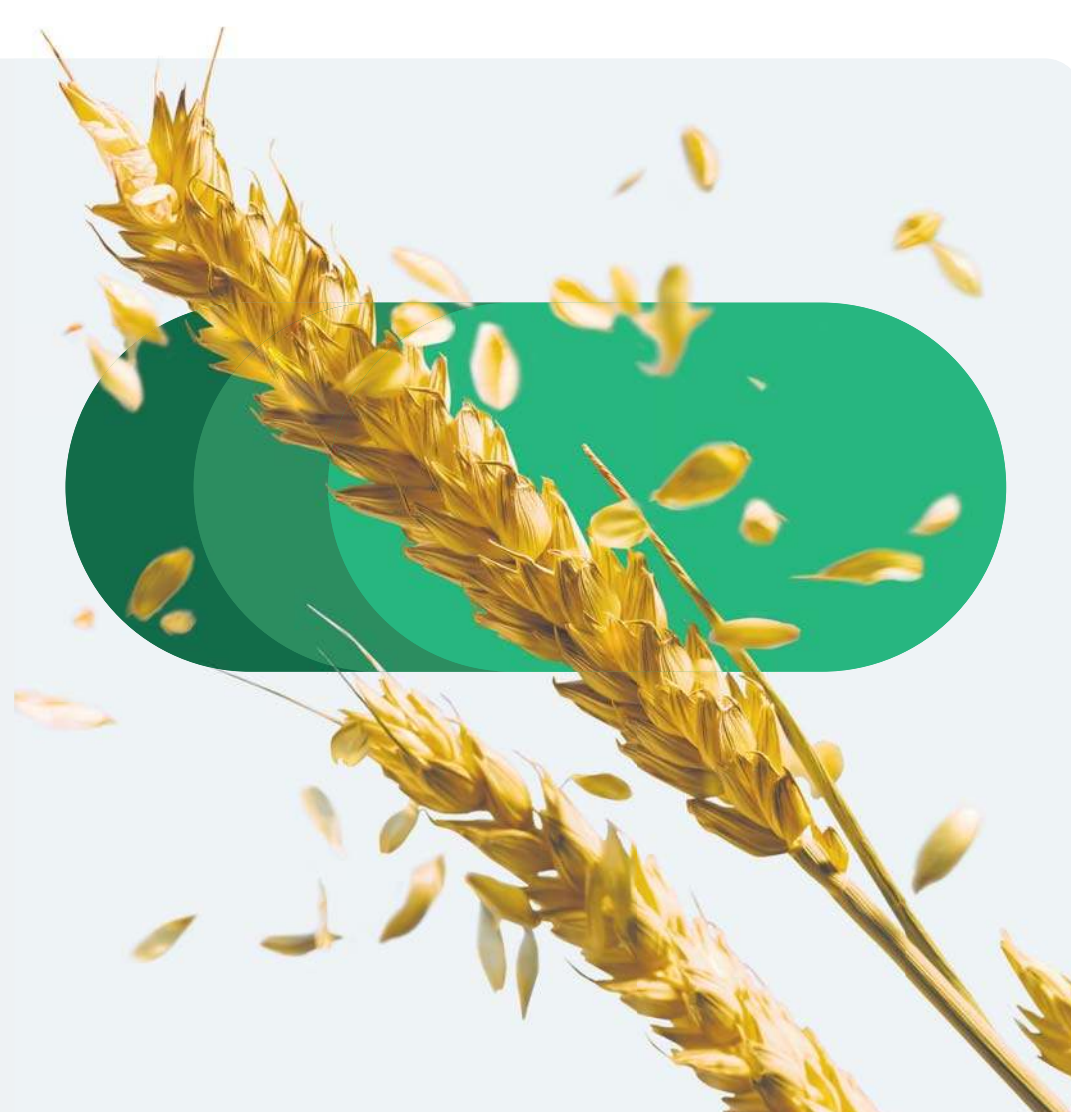
AUTOPROMOCJA

Polecamy →

strefa AGRO

Czytaj

strefaagro.pl



LAUREACI PLEBISCYTU

SOŁTYS ROKU

powiat białobrzezki	Robert Jagiello , Sołectwo Czarnocin, gmina Radzanów
powiat ciechanowski	Piotr Olszewski , Sołectwo Ujazdowo, gmina Ciechanów
powiat garwoliński	Anna Michalek , Sołectwo Kozice, gmina Trojanów
powiat gostyniński	Gabriela Dorota Molka , Sołectwo Aleksandrów, gmina Sanniki
powiat grodziski	Mirosław Borkowski , Sołectwo Chrzanów Mały, gmina Grodzisk Mazowiecki
powiat grójcecki	Lucyna Krymel , Sołectwo Wola Boglewka, gmina Jasieniec
powiat kozienicki	Mariola Lipiec , Sołectwo Przewóz, gmina Kozienice
powiat legionowski	Anna Pińczuk-Kurowska , Sołectwo Bolesławowo, gmina Serock
powiat lipski	Łukasz Sajdak , Sołectwo Gołębiów, gmina Lipsko
powiat łosicki	Adam Lipiński , Sołectwo Stare Biernaty, gmina Łosice
powiat makowski	Kamil Częścik , Sołectwo Nowe Gąsewo, gmina Sypniewo
powiat miński	Iwona Zdzieborska , Sołectwo Rudzienko, gmina Dobre
powiat mławski	Paweł Piotr Grądzki , Sołectwo Zawady, gmina Lipowiec Kościelny
powiat nowodworski	Łukasz Prokop , Sołectwo Wymysły, gmina Pomiechówek
powiat ostrołęcki i Ostrołęka	Danuta Kita , Sołectwo Zawady, gmina Baranowo
powiat ostrowski	Izabela Modzelewska , Sołectwo Sulęcín Szlachecki, gmina Stary Lubotyń
powiat otwocki	Marek Ruśkowski , Sołectwo Stara Wieś, gmina Celestynów
powiat piaseczyński	Joanna Rumińska , Sołectwo Borowina, gmina Konstancin-Jeziorna
powiat płocki i Płock	Tomasz Woźniak , Sołectwo Ciudkowo, gmina Wyszogród
powiat płoński	Sławomir Szalkowski , Sołectwo Zdunowo, gmina Załuski
powiat pruszkowski	Anna Lewandowska , Sołectwo Sokołów, gmina Michałowice
powiat przasnyski	Anna Antosiak , Sołectwo Poścień Wieś, gmina Chorzele
powiat przysuski	Krzysztof Więcław , Sołectwo Krzesławice, gmina Rusinów
powiat pułtuski	Sławomir Tomczyk , Sołectwo Kowalewice Włosciańskie, gmina Świercze
powiat radomski i Radom	Sławomir Lisek , Sołectwo Suliszka, gmina Wierzbica
powiat siedlecki i Siedlce	Marta Fronczek , Sołectwo Wiśniew, gmina Wiśniew
powiat sierpecki	Anna Wiśniewska , Sołectwo Dobaczewo, gmina Mochowo
powiat sochaczewski	Marcin Kwiatkowski , Sołectwo Budki Piaseckie, gmina Teresin
powiat sokołowski	Andrzej Kosieradzki , Sołectwo Chmielew, gmina Sokołów Podlaski
powiat sztybołowski	Jacek Miernik , Sołectwo Gąsawy Plebańskie, gmina Jastrząb
powiat warszawski zachodni	Grzegorz Kikola , Sołectwo Cholewy, gmina Błonie
powiat węgrowski	Grzegorz Czarnacki , Sołectwo Kalinowiec, gmina Łochów
powiat wołomiński	Karol Kostrzewa , Sołectwo Zwierzyniec, gmina Radzymin
powiat wyszkowski	Iwona Jeż , Sołectwo Somianka, gmina Somianka
powiat zwoleński	Helena Drag , Sołectwo Brzezinki Stare, gmina Tczów
powiat żuromiński	Iwona Fijałkowska , Sołectwo Dąbrowice, gmina Żuromin
powiat żyrardowski	Marzena Pachnik , Sołectwo Antoniew, gmina Wiskitki

ROLNIK ROKU

powiat białobrzezki	Jakub Aderek , Rogolin
powiat ciechanowski	Błażej Bobiński , Kolańki Wielkie
powiat garwoliński	Robert Baran , Filipówka
powiat grójcecki	Michał Pietrzak , Warka
powiat kozienicki	Artur Gac , Kepeczki
powiat łosicki	Tomasz Kruk , Nowe Szpaki
powiat mławski	Krzysztof Wiloch , Krzywki-Piaski
powiat nowodworski	Norbert Trojanowski , Brzozówka
powiat ostrołęcki i Ostrołęka	Grażyna Maślanka , Żabin
powiat piaseczyński	Maciej Sówka , Przytki
powiat płocki i Płock	Krzysztof Kamiński , Niszczyce
powiat płoński	Jarosław Drogosz , Szymaki
powiat przasnyski	Bartosz Wieczorek , Przasnysz
powiat przysuski	Przemysław Szatan , Długie
powiat radomski i Radom	Marcin Boczek , Mokrosek
powiat siedlecki i Siedlce	Szymon Jastrzębski , Śmiary
powiat sierpecki	Łukasz Garwacki , Jaworowo-Kolonia
powiat sochaczewski	Kamil Szymański , Nowy Białynin
powiat sokołowski	Marcin Wojtalik , Gródek-Dwór
powiat sztybołowski	Marcin Michalski , Krawara
powiat wyszkowski	Grzegorz Jeż , Somianka, Usługi Transportowe
powiat zwoleński	Damian Ogonowski , Sydół

LIDER SPOŁECZNOŚCI ROKU

powiat ciechanowski	Marzena Grzymkowska , Kraszewo, KGW Kraszewianki w Kraszewie
powiat garwoliński	Anna Malitka-Babik , Jaźwiny, KGW Urzekające
powiat grójcecki	Ewelina Czerwińska , Rębowa, KGW Rembowianki
powiat kozienicki	Olga Kucińska , Molendy, KGW Bocianie Gniazdo
powiat lipski	Justyna Pargieła , Boiska, DzialeJemy
powiat łosicki	Anna Szpura , Stara Kornica
powiat makowski	Kamil Terlecki , Różan, Wolontariat Kamil
powiat miński	Bożena Jakubowska , Budziska
powiat mławski	Katarzyna Balińska , Stare Kosiny, Sołectwo Stare Kosiny
powiat nowodworski	Anna Wawrzonkiewicz , Nowy Secymin
powiat ostrołęcki i Ostrołęka	Marcin Brewczyński , Łyse, Gminny Ośrodek Kultury Sportu i Rekreacji
powiat ostrowski	Wioletta Nagórka , Ugniewo, Stowarzyszenie Ugniewo Razem
powiat otwocki	Danuta Podgórska , Izabela, Centrum Usług Społecznych Gminy Wiązowna
powiat piaseczyński	Mirosław Śliwowski , Bobrowiec, FCB Akademia Piłkarska
powiat płocki i Płock	Barbara Kaczmarek , Koszelew, KGW Koszelewaniki
powiat płoński	Izabela Kopczyńska , Cieszkowo-Kolonia
powiat pruszkowski	Wojciech Rogowski , Raszyn, Społeczny Komitet Ochrony Falent
powiat przasnyski	Mateusz Piórkowski , Duczumin, Urząd Miasta i Gminy
powiat przysuski	Elżbieta Niewadzisz , Wieniawa
powiat radomski i Radom	Mariusz Kopycki , Jedliński, Jedlińskie Stowarzyszenie Hodowców Ptactwa Ozdobnego i Drobrego Inwentarza
powiat radomski i Radom	Teresa Paluch Kobylarczyk , Gutów
powiat siedlecki i Siedlce	Krzysztof Wawrzyniec Borkowski , Mościbrody, Senator RP III i V kadencji
powiat sochaczewski	Beata Owczarzak , Kuznocin
powiat sokołowski	Mariusz Wilk , Kupientyn, Mechanika Pojazdowa
powiat sztybołowski	Ewelina Janczyk , Lipienice Górne, KGW Lipienice
powiat warszawski zachodni	Agnieszka Stanicka , Stare Babice, Instruktor Nordic Walking
powiat węgrowski	Adam Wielądek , Korytnica, Gminny Dom Kultury
powiat wołomiński	Marzena Białek , Międzyzyleś, Sołectwo Międzyzyleś
powiat zwoleński	Hanna Renata Stępień , Czarnolas, Sołectwo Czarnolas i Czarnolas-Kolonia

powiat żuromiński	Iwona Fijałkowska , Dąbrowice, Sołectwo Dąbrowice
powiat żyrardowski	Andrzej Ciesielski , Guzów

KOŁO GOSPODYŃ WIEJSKICH ROKU

powiat białobrzezki	KGW Kadlubianki , gmina Stara Błotnica
powiat ciechanowski	KGW Róża w Żochach , gmina Ojrzeń
powiat garwoliński	KGW Kobylanki w Kobylnicy , gmina Maciejowice
powiat grodziski	KGW Jaktorowskie Turzyce , gmina Jaktorów
powiat grójcecki	KGW Borowianki znad Mogielanki w Borowem , gmina Mogielnica
powiat kozienicki	KGW Ponikwianki , gmina Garbatka-Letnisko
powiat legionowski	KGW Gąsiorowianki , gmina Serock
powiat lipski	KGW Pawliczka , gmina Rzecznów
powiat łosicki	KGW Marysieńki , gmina Stara Kornica
powiat makowski	KGW Chodkowo-Zalogi , Płoniawy-Bramura
powiat miński	KGW Budziskowe Ptaszyny , gmina Halinów
powiat mławski	KGW Dziarskie Babki , gmina Wiśniewo
powiat nowodworski	KGW Dolina Wkry , gmina Pomiechówek
powiat ostrołęcki i Ostrołęka	KGW Szafarianki , gmina Lelis
powiat ostrowski	KGW Milusie , gmina Nur
powiat otwocki	KGW Wspólne Tory Stara Wieś i Głina , gmina Celestynów
powiat piaseczyński	Koło Gospodyń i Gospodarzy Wiejskich Opaczanki , gmina Konstancin-Jeziorna
powiat płocki i Płock	KGW Aktywna Kobieta w Zaździerzu , gmina Łąck
powiat płoński	KGW Sielskie Baboszewo , gmina Baboszewo
powiat pruszkowski	KGW Jaworowa , gmina Raszyn
powiat przasnyski	KGW w Duczyminie , gmina Chorzele
powiat przysuski	KGW Rozwadzianki Plus w Rozwadach , gmina Gielniów
powiat radomski i Radom	KGW Ludwinianki z Ludwinowa , gmina Kowala
powiat siedlecki i Siedlce	KGW Kisielanki , gmina Mokobody
powiat sierpecki	KGW w Sudragach , gmina Sierpc
powiat sochaczewski	KGW w Żdźzarowie , gmina Sochaczew
powiat sokołowski	KGW Białobrzegi , gmina Sterdyń
powiat sztybołowski	KGW w Lipienicach , gmina Jastrząb
powiat węgrowski	KGW Kalinki , gmina Łochów
powiat wołomiński	KGW w Ossowie My Słowianki Ossowianki , gmina Wołomin
powiat wyszkowski	KGW w Woli Mystkowskiej , gmina Somianka
powiat zwoleński	KGW Łączymy Pokolenia w Policznie , gmina Policzna
powiat żuromiński	Stowarzyszenie KGW w Rozwozinie , gmina Żuromin
powiat żyrardowski	KGW Walerki w Walerianach , gmina Puszcza Mariańska

SOŁECTWO ROKU

powiat ciechanowski	Sołectwo Osiek-Aleksandrowo , gmina Gołymin-Ośrodek
powiat grodziski	Sołectwo Holendry Baranowskie , gmina Baranów
powiat grójcecki	Sołectwo Koziegłowy , gmina Jasieniec
powiat legionowski	Sołectwo Rynia , gmina Nieporęt
powiat lipski	Sołectwo Zapusta , gmina Siemno
powiat łosicki	Sołectwo Niemojki Wieś , gmina Łosice
powiat makowski	Sołectwo Podborze , gmina Różan
powiat miński	Sołectwo Szembory , gmina Kałuszyn
powiat mławski	Sołectwo Pączkowo , gmina Szerńsk
powiat mławski	Sołectwo Proszkowo , gmina Szerńsk
powiat nowodworski	Sołectwo Brzozówka , gmina Czosnów
powiat ostrołęcki i Ostrołęka	Sołectwo Damiany , gmina Czerwin
powiat ostrowski	Sołectwo Bartosy , gmina Wąsewo
powiat otwocki	Sołectwo Wiązowna Kościelna , gmina Wiązowna
powiat piaseczyński	Sołectwo Czarnów , gmina Konstancin-Jeziorna
powiat płoński	Sołectwo Dzierżążnia , gmina Dzierżążnia
powiat przysuski	Sołectwo Krzesławice , gmina Rusinów
powiat radomski i Radom	Sołectwo Gutów , gmina Jedlińsk
powiat sierpecki	Sołectwo Sudragi , gmina Sierpc
powiat sokołowski	Sołectwo Kiełpiniec , gmina Sterdyń
powiat sztybołowski	Sołectwo Lipienice , gmina Jastrząb
powiat węgrowski	Sołectwo Żelezniki , gmina Miedzna
powiat wołomiński	Sołectwo Nadma Stara , gmina Radzymin
powiat zwoleński	Sołectwo Mieczysławów , gmina Zwoleń
powiat żyrardowski	Sołectwo Waleriany , gmina Puszcza Mariańska

AGROTURYSTYKA ROKU

powiat gostyniński	AgroKomfort , Białe
powiat grójcecki	Agroturystyka Zdrowo przez sad , Brzezinki
powiat lipski	Lawendowo jak najbardziej , Pawłowice
powiat płocki i Płock	Ranczowisko , Cekanowo
powiat sierpecki	Agroturystyka Zagroda Pod Lipami , Zglenice-Budy
powiat sokołowski	Gospodarstwo Agroturystyczne u Tadeona , Gródek
powiat sztybołowski	Ranczo Krawara , Krawara
powiat węgrowski	Siedlisko Raz się żyje - Glamping , Wierzbno
powiat wyszkowski	Stajnia nad Rozlewiskiem , Somianka

NADLEŚNICZY ROKU

1 miejsce	Wojciech Kała , Nadleśnictwo Płońsk
2 miejsce	Waldemar Jabłoński , Nadleśnictwo Radziwiłłów
3 miejsce	Marek Roman , Nadleśnictwo Nadleśnictwa Drewnica



FOT. SZYMON SZCZESNAK

Rafał Maćkowiak: Traktuję aktorstwo jako możliwość próbowania różnych rzeczy, ale jak to zwykle bywa, trzeba do tego przekonać bardzo wielu ludzi

nie było z „W dół kolorowym wzgórzem”. To były super doświadczenia, ale nasze relacje z Przemkiem nie były takie całkiem słodkie. Tak czasem bywa: artystyczne tarcia, przy zachowaniu szacunku dla drugiej osoby, są tym, na czym powinna polegać ta praca. Nie może być za miło, bo wtedy człowiek usypia.

U Magdy Piekorz w „Senności” zagrałeś geja, który boi się przyznać do swej orientacji przed tradycyjną rodziną. To był rok 2008. Miałeś poczucie, że przełamujesz jakieś tabu w polskim kinie?

W ogóle nie myślałem o tym w ten sposób. Bardzo podobał mi się scenariusz napisany przez Wojciecha Kuczoka. Mocno utożsamiałem się z moją postacią: z jej wrażliwością i relacją rodzinną. Dlatego dobrze mi się pracowało na planie tego filmu.

Za występ w „33 scenach z życia” zostałeś nominowany

do Orła za najlepszą drugoplanową rolę męską. To była rzeczywiście wyjątkowa rola?

To była dobra rola. Generalnie pomyślałem na ten film był ciekawy. Tematyka bardzo ciężka i osobista dla Małgorzaty Szumowskiej: śmierć obojga rodziców. Podane to zostało jednak w absurdalnie śmieszny sposób. Ale chyba tak właśnie wygląda życie. Ta moja postać podbijała ten kontrast, bo często pojawiała się w kontrze do klimatu danej sceny i wносиła ten absurdalny humor. To zabieg, który zawsze świetnie działa. Dlatego uwielbiam takie postacie.

Za sprawą tych filmów wyspecjalizowałeś się w rolach współczesnych bohaterów uwikłanych w obyczajowe i społeczne mechanizmy Polski początku XXI wieku. Czuliście się w nich najlepiej?

Ludzie mają potrzebę przypinania aktorom jakichś lat i wsadzania do szuflad. Dlatego nie miałem w tamtym

czasie możliwości doświadczenia czegoś innego. Nie mogłem więc stwierdzić, że w tych rolach czuję się najlepiej lub nie czuję się dobrze. Kiedy byłem na castingu do jakiegoś historycznego filmu, to usłyszałem, że jestem „współczesny”. To mogłoby być cenna uwaga, tylko ja jej wtedy kompletnie nie rozumiałem. Nie wiedziałem w tamtym momencie co to znaczy być „współczesnym”. Traktuję aktorstwo jako możliwość próbowania różnych rzeczy, ale jak to zwykle bywa, trzeba do tego przekonać bardzo wielu ludzi. Bo oni dokładnie wiedzą jaki jesteś i żeby zdobyć ich zaufanie i udowodnić, że masz potencjał też na inne role, to cały czas ciężka praca.

Po filmie „Wieża” postrzegano cię wręcz jako głos pokolenia 30-laków, jak kiedyś Lindę czy Cybulskiego. Miałeś takie ambicje?

Nawet nie mam zielonego pojęcia co miałyby to znaczyć. Żeby tak było, musiałbym mieć większy wpływ na role, które gram. A to nie takie proste.

Początkowo nie chciałeś grać w serialach. Z czasem przekonałeś się jednak do nich. Co sprawiło, że zmieniłeś zdanie?

Telewizja się zmieniła. Kiedy deklarowałem, że nie mam ochoty grać w serialach, dominowały w niej przysłowiowe „tasiemce”. Rzadko zdarzały się zamknięte historie. Kiedy aktor decydował się na występ w takim „tasiemcu”, wchodził w machinę, która co prawda dawała mu poczucie bezpieczeństwa, wypływające ze stałej pracy, ale nie oferowała żadnego wpływu na jakość danego przedsięwzięcia. I ja bałem się tego. W momencie pewnego kryzysu finansowego, dołączyłem jednak do „Na dobre i na złe”, ale szybko okazało się, że to praca jak przy taśmie w fabryce.

Kiedy przyszła zmiana?

Gdy pojawiła się propozycja realizacji „Ekipy”. Początkowo się wahałem, ale przekonało mnie, że reżyserować będą Agnieszka Holland, Kasia Adamik i Magdalena Łazarkiewicz, a na planie spotkam świetnych aktorów. Już na pierwszych próbach byłem pod wrażeniem tego, że czytamy wspólnie scenariusz i dyskutujemy o nim. Potem na planie był pełen profesjonalizm i komfort pracy. I powstał wyjątkowy serial w historii polskiej telewizji.

To w serialu widziliśmy cię ostatnio w głównej roli - w kryminalnym „Herkulesie”. Zagrałeś tam chyba trochę siebie - nadwrażliwego introwertyka.

(Śmiech) Choć mam pewne wspólne cechy z tą postacią, to jednak wydaje mi się, że jest ona daleko ode mnie. Aż takim introwertykiem nie jestem. Herkules jest prawdopodobnie w spektrum autyzmu - i choć nie było to zdefiniowane w scenariuszu, odczuwałem przez to dużą wolność w kreowaniu tego bohatera. Miałem bowiem przekonanie, że jest zdecydowanie inny niż ja. Dlatego bardzo polubiłem tę postać.

Szkoda, że skończyło się na jednym sezonie.

To prawda. Takie zakończenie projektu jest zawsze przykre, jeśli gra się dużą i ciekawą rolę. Cóż - jesteśmy zależni od czyichś decyzji, które nie do końca są dla nas zrozumiałe. Tak to bywa w telewizji. Musiałem się więc z tą postacią pożegnać.

Kiedyś powiedziałeś: „Dla mnie teatr to jest miejsce, gdzie się jeszcze eksperymentuje”.

tuje, gdzie się ryzykuje”. W filmie nie ma na to szans?

Chodzi o czas na przygotowanie postaci. Marzę o takim momencie, który może przyjdzie kiedyś w przyszłości, kiedy twórcy filmowi i telewizyjni zrozumieją, że aby coś dobrze zrobić, potrzebny jest czas. Tymczasem na planie filmowym nigdy nie ma czasu. Wszystko robi się szybko i człowiek w dużej mierze zdany jest tylko na siebie i na to, co umie. A to sprawia, że nie jest w stanie wszystkiego odpowiednio przepracować. W teatrze mamy więcej czasu na próby. Dzięki temu możemy więcej przemyśleć i przetrwać, a potem wymienić się tym z innymi i czegoś się od nich nauczyć. Dlatego teatr jest dla mnie miejscem samorozwoju. Pewnie poza nim też może to być możliwe, ale wymaga od aktora dużego samozaparcia. W teatrze mamy też częstszy kontakt z literaturą, z dobrym scenariuszem, z czymś, co działa na tym poziomie, co ma sens, jest głębokie i jest jakąś formą.

Od ponad 20 lat występujesz w TR Warszawa. Etat daje poczucie stabilizacji?

Teatr w Polsce jest totalnie niedofinansowany. Kiedy osiąga się pewien wiek i pojawia się rodzina, trudno traktować go jako coś więcej niż hobby. (Śmiech) Dlatego jest to pewna stabilizacja, ale na pewno nie w sensie finansowym, tylko raczej w sensie zawodowym, jako baza, która pozwala zamknąć się na 2-3 miesiące i pracować nad rolą.

Grałeś w teatrze u Jarzyny, Warlikowskiego, Zanussiego, Jandy. Te bogate doświadczenia teatralne mają przełożenie na pracę w filmie i telewizji?

Bywa tak. Aczkolwiek mam wrażenie, że są to dwa zupełnie inne światy. Znam niewielu reżyserów filmowych, którzy chodzą do teatru. (Śmiech) Są to ci twórcy, którzy stawiają na aktora w swoich projektach. Nie jest to jednak powszechne.

Mówisz o sobie: „Zachowuję się jak człowiek starej daty”. To dlatego nie jesteś obecny w mediach społecznościowych i stronisz od świata celebrytów?

(Śmiech) Kompletnie nie rozumiem tego świata. Jest we mnie duży opór przed obecnością w social mediach. Oczywiście wiem, że to dzisiaj ważny element autopromocji, nawet mam Instagram, ale niespecjalnie coś robię, żeby gromadzić swoich followersów. Po prostu nie wiem kto jest tam po drugiej stronie i co mam do niego powiedzieć. Traktuję więc social media jako swego rodzaju

chorobę, której nie jestem w stanie pojąć.

Nie masz wrażenia, że coś przez to tracisz jako aktor?

Myślę, że tak. Już wielokrotnie odczułem, że weryfikacja pod kątem popularności w social mediach jest istotna dla osób, które decydują o obsadach w filmach i serialach. Szczególnie tych komercyjnych. Jestem przekonany, że to się dziś bardziej liczy niż umiejętności, które, niestety, znacznie trudniej zweryfikować.

Pewnie twoja córka Lila lepiej sobie radzi w mediach społecznościowych. Tym bardziej że też wkracza w świat filmu - i nawet niedawno zagraliście razem w serialu „Udar”. Jak było?

„Udar” to jedno z najważniejszych doświadczeń artystycznych niezwiązanych z teatrem w mojej karierze w ostatnich latach. To coś takiego, w czym częściej chciałbym brać udział - jeżeli chodzi o scenariusz i postać, którą gram, ale też jeśli chodzi o towarzystwo: reżyserów i obsadę. Oczywiście ważne jest też to, że w tym serialu zagrałem po raz pierwszy z kimś tak mi bliskim. Przez to, że dookoła byli świetni profesjonalści, miałem komfort obserwowania Lili jako partnerki, a nie osoby, z którą jestem emocjonalnie związany i nad którą muszę czuwać jako ojciec. Była świetnie zaopiekowana i świetnie sobie radziła, a ja mogłem całkowicie skupić się na sobie.

Myślisz, że Lila pójdzie za ciosem i zwiąże swe dorosłe życie z aktorstwem?

Nie wiem. Zobaczymy. Jest już prawie dorosła, więc pozwalamy jej samej zdecydować.

Nie jest tajemnicą, że twoja żona Vasina jest cenioną projektantką mody gwiazd popu i rocka. Chodzisz w ubraniach jej pomysłu?

(Śmiech) Tylko i wyłącznie. To są moje ulubione ubrania. Żona mi dobiera garderobę.

Myślisz, że dwaj twoi synowie dla odmiany pójdą w ślady mamy i zostaną projektantami mody?

Jeżeli chodzi o synów, to są oni jedną wielką zagadką.

Jesteście ponoć z żoną jak ogień i woda, bo macie kompletnie inne charaktery. Jak udało wam się przetrwać razem tyle lat i stworzyć stabilną rodzinę?

Może właśnie to jest sekret takiego udanego związku - że ludzie się dopełniają.

Kiedyś powiedziałeś: „W życiu często ratuje nas mój spokój i jej poczucie humoru”. Nadal się to sprawdza? Tak. Nieustannie.

RECHOT SŁYCHAĆ CORAZ RZADZIEJ. CISI STRAŻNICY ŚWIATA ZNIKAJĄ

Są mniejsze od paznokcia, przezroczyste jak szkło albo ważą kilka kilogramów. Ale dziś najbardziej niezwykłe w żabach nie jest to, jak wyglądają, lecz jak szybko znikają. Płazy należą do najbardziej zagrożonych zwierząt na świecie, Stare Zoo w Poznaniu próbuje je ratować

Justyna Piasecka-Gabryel

Iaba wielkości paznokcia, żaba cięższa niż jeden noworodek i taka, która potrafi niemal zniknąć na zielonym liściu. W świecie płazów natura najwyraźniej pozwoliła sobie na wyjątkowo śmiałą fantazję. Najmniejsza znana żaba świata, Paedophryne amauensis z Papui-Nowej Gwinei, mierzy średnio zaledwie 7,7 milimetra - mniej więcej tyle, ile mała mucha. Na drugim biegunie znajduje się afrykańska żaba goliat (Conraua goliath), która dorasta do około 32 centymetrów długości i może ważyć ponad 3 kilogramy. Są też żaby szybujące między drzewami, wykorzystujące błony pławne jak miniaturowe lotnie, oraz żaby szklane, tak przejrzyste, że od spodu można dostrzec ich narządy wewnętrzne.

Brzmi to jak materiał na atlas osobliwości, ale prawda o żabach jest dziś znacznie mniej baśniowa niż ich wygląd. Bo te niepozorne zwierzęta są jednocześnie jednymi z najbardziej niezwykłych i jednymi z najbardziej zagrożonych mieszkańców naszej planety. Światowy Dzień Żaby, przypadający 20 marca, to dobry moment, by przypomnieć o sprawie bardzo poważnej: płazy znikają w alarmującym tempie.

Znikający świat żab

Naukowcy nie mają wątpliwości: płazy są dziś najbardziej zagrożoną grupą kręgowców na świecie. Według najnowszej globalnej oceny płazów opublikowanej w „Nature” wynika, że 40,7 proc. gatunków płazów jest zagrożonych wyginięciem. To więcej niż w przypadku ptaków, ssaków czy gadów.

A przecież żaby nie są tylko biologiczną osobliwością ani bohaterkami egzotycznych atlasów. W świecie przyrody pełnią rolę czułych wskaźników zmian - szybko reagują na skażenie środowiska, osuszenie mokradeł, wzrost temperatury i zanik bezpiecznych siedlisk. Żyją na styku wody i lądu, mają ciekawą, przepuszczalną skórę, dlatego wyjątkowo szybko pokazują, że z otoczeniem dzieje się coś niepokojącego.

Gdy żaby znikają, zwykle nie jest to przypadek, lecz znak, że cały ekosystem zaczyna tracić równowagę.

To właśnie dlatego ich historia nie rozgrywa się wyłącznie w odległych lasach tropikalnych. To także opowieść bardzo bliska - o wysychających stawach, przecinających krajobraz drogach, betonowaniu miast, zaniku mokradeł i coraz cichszych wiosennych wieczorach. Bo gdy milknie rechot, milknie coś więcej niż tylko dźwięk znany z dzieciństwa.

- W tej chwili 41 procent płazów jest krytycznie zagrożonych. Winny jest przede wszystkim człowiek i jego działanie. Odbierane są siedliska, niszczone, a do tego dochodzą postępujące zmiany klimatyczne - mówi Agnieszka Świeczkiewicz ze Starego Zoo w Poznaniu, zajmująca się płazami.

To człowiek najczęściej uruchamia cały łańcuch zagrożeń. Dla płazów zagrożeniem jest niemal każda ingerencja, która odbiera im naturalne siedliska i przerywa szlaki migracji - zasypywanie oczek wodnych, osuszanie podmokłych terenów, zabudowa, ruch samochodowy i wycinka. W wielu miejscach świata wystarczy zniszczyć nie-

wielki fragment siedliska, by gatunek znalazł się na granicy przetrwania. Niektóre gatunki żab występują na bardzo małych obszarach - są związane z jednym typem lasu, niewielkim fragmentem wilgotnego siedliska, a czasem nawet z pojedynczym drzewem. Kiedy takie miejsce znika, nie mają dokąd się przenieść.

- To są pierwsze zwierzęta, które nas informują, że w naturze dzieje się coś niedobrego. Jeżeli gdzieś zaczyna się diametralnie zmniejszać ich populacja, to znaczy, że dzieje się coś złego - podkreśla Agnieszka.

Ratunek ze Starego Zoo

Ta historia ma również bardzo konkretny, poznański adres. Stare Zoo nawiązuje dziś do swojej herpetologicznej tradycji i rozwija miejsce, które ma znaczenie nie tyle ekspozycyjne, co ochronne. Zaplecze zostało przekształcone w specjalistyczne laboratorium dla drzewołazów - płazów z Ameryki Środkowej i Południowej, które w naturze żyją w lasach deszczowych i wymagają bardzo precyzyjnie odtworzonych warunków.

- Stare Zoo nawiązuje do historii, bo jest bardzo ważnym elementem herpetologicznym.

Rozmnażaliśmy wiele gatunków płazów, które trafiały do ogrodów zoologicznych w całej Polsce i do krajów Europy. Nawiązujemy do tego - mówi Agnieszka.

Laboratorium nie jest zwykłym zapleczem technicznym. To miejsce, w którym trzeba odtworzyć odpowiednią temperaturę, wilgotność, rytm dnia i nocy, a nawet warunki świetlne potrzebne do pobudzenia zwierząt do rozrodu.

- To są gatunki z Ameryki Południowej i Środkowej, zamieszkujące lasy deszczowe. Mamy tu urządzenia sterujące temperaturą, wilgotnością, długością światła. To wszystko jest bardzo ważne - wyjaśnia opiekunka.

Sens takiej hodowli jest bardzo konkretny. Chodzi o utrzymanie zdrowych populacji zwierząt objętych programami ochronnymi, rozwijanie rozrodu i ograniczanie presji na dzikie populacje. Tam, gdzie istnieje możliwość legalnej hodowli i wymiany między ogrodami zoologicznymi, tam maleje ryzyko odławiania płazów z natury.

- Takie działanie ma na celu także ograniczenie kłusownictwa, pozyskiwania płazów z natury, a jednocześnie utrzymanie ginących gatunków. Mamy 27

grup hodowlanych przygotowanych dla płazów objętych programami hodowlanymi - mówi Agnieszka Świeczkiewicz.

Co ważne, nie są to działania, których efekty będzie można ocenić dopiero za kilka lat. Pierwsze rezultaty już widać.

- Już są efekty. W pomieszczeniu jest pełno pojemników z kijankami, są już małe żabki. Bardzo im się spodobało. „Śpiją”, czyli są zadowolone - opowiada z uśmiechem.

W dalszej perspektywie oznacza to możliwość przekazywania zwierząt do innych ogrodów zoologicznych i wzmacniania programów hodowlanych, które mają zabezpieczać najbardziej zagrożone gatunki. Tam, gdzie liczebność spada do poziomu granicznego, każda stabilna grupa hodowlana może mieć znaczenie.

Na trasie migracji

Ale problem płazów nie zaczyna się i nie kończy na tropikach. Dotyczy także polskich miast. Temat migracji płazów do miejsc rozrodu powraca każdej wiosny. To właśnie wtedy zwierzęta przemieszczają się trasami, które od lat mają „zapisane”, a u celu okazuje się, że nie ma już dla nich warunków.

- One migrują, bo mają zakodowany kierunek. Idą tam, gdzie od zawsze były ich miejsca. Problem zaczyna się wtedy, gdy nagle okazuje się, że już ich nie ma - bo jest droga, osuszone tereny albo zabudowa - wyjaśnia opiekunka płazów w Starym Zoo w Poznaniu.

Dlatego pomoc płazom nie zawsze wymaga spektakularnych inwestycji. Czasem decydują o niej sezonowe zabezpieczenia przy drogach, przenoszenie zwierząt przez wolontariuszy, pozostawienie fragmentu dzikiej zieleni albo ochrona małych zbiorników wodnych. Właśnie z takich działań składa się realna ochrona przyrody w mieście. Równocześnie Agnieszka zwraca uwagę na problem, o którym rzadziej się mówi - ludzką fascynację egzotyką. Niektóre płazy są odławiane po to, by trafić do prywatnych hodowli, inne stają się atrakcją dla turystów albo elementem handlu. W skrajnych przypadkach prowadzi to do gwałtownego spadku liczebności całych populacji.

- Najgorsze jest to, że człowiek ciągle sięga po więcej. Zabiera siedliska, a potem jeszcze chce mieć takie zwierzę w domu albo traktuje je jak atrakcję - mówi.

A co by było, gdyby płazów zabrakło? Skutki nie ograniczyłyby się do ciszy nad stawami. Zniknięcie tych zwierząt szybko odbiłoby się na całych ekosystemach, bo płazy współtworzą delikatną sieć zależności między wodą, łądem i innymi zwierzętami. Ich brak oznaczałby kolejny ubytek w świecie, który i tak coraz szybciej traci różnorodność.

- Jeśli płazów nie będzie, to czeka nas coś nieprzyjemnego. Są bardzo potrzebne, żeby utrzymać równowagę - podkreśla Agnieszka Świeczkiewicz.

I może właśnie dlatego warto w tym roku spojrzeć na żabę inaczej. Nie jak na błahy symbol wiosny ani bohaterkę dziecięcych wierszyków, lecz jak na czuły wskaźnik tego, co dzieje się z przyrodą. Bo kiedy cichnie wiosenny rechot, przyroda nie milczy. Ona ostrzega.



FOT. ADAM JASTRZĘBOWSKI

Kaszubski nie zaczyna się w podręczniku. Zaczyna się przy stole, w rozmowie między pokoleniami, w słowach, które brzmią inaczej niż polszczyzna, ale są jej bliskie. Przez lata był językiem codzienności - używanym w domu, w pracy, wśród sąsiadów - bez potrzeby zapisywania, bez jednej obowiązującej formy. Każda wieś mówiła trochę inaczej, każda okolica miała swój rytm i brzmienie.

Dziś ten sam język wraca do szkół i coraz częściej pojawia się w przestrzeni publicznej. Uczą się go tysiące uczniów, a w niektórych gminach stał się naturalną częścią edukacji. To już nie tylko mowa przekazywana w rodzinie, ale także świadomy wybór kolejnych pokoleń.

Zanim jednak kaszubski trafił do szkolnych klas, przez długie lata pozostawał językiem lokalnym - żywym, ale rozproszonym. Jak opisywali badacze już w pierwszej połowie XX wieku, była to mowa niezwykle zróżnicowana, podzielona na dziesiątki gwar, silnie związana z historią i codziennym życiem Pomorza.

Coraz więcej uczniów wybiera kaszubski

W tym roku ponad 25 tysięcy uczniów w województwie pomorskim uczy się języka kaszubskiego. Tak wynika z najnowszych danych za rok szkolny 2025/2026, które opublikowało Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie. Na lekcje kaszubskiego uczęszcza obecnie 25 252 uczniów. To wyraźny wzrost w porównaniu z poprzednim rokiem szkolnym, gdy było ich 23 921, a zarazem najwyższy wynik w ostatniej dekadzie. Trend jest wyraźnie wzrostowy, mimo że region - podobnie jak cała Polska - mierzy się ze spadkiem liczby dzieci w szkołach.

Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie zwraca uwagę, że kaszubski w szkole to nie tylko jedna z lekcji, ale element tożsamości regionu. Każdy procent w statystykach oznacza realne dzieci i młodzież, które poznają język swoich przodków.

Gminy z najwyższym udziałem uczniów

Najsilniejszą pozycję język kaszubski ma w szkołach podstawowych. W niektórych gminach stał się naturalnym elementem edukacji, widocznym w skali całej społeczności szkolnej. Liderem zestawienia jest gmina Sulęcyno, gdzie na lekcje kaszubskiego uczęszcza 59,26 proc. wszystkich uczniów podstawówek. Oznacza to, że uczy się go tam niemal sześcioro na dziesięcioro dzieci.

Wysokie wyniki notują także Trzebielino (56,87 proc.), Karsin (56,82 proc.), Jastarnia (55,60 proc.) i Cewice (55,42 proc.). W tych samorządach ka-



Kaszubskie nuty (Kaszëbsczé nótë) to tradycyjna pieśń kaszubska

JĘZYK, KTÓRY NIGDY NIE ZAMILKŁ. KASZUBSKI ZNÓW SŁYCHAĆ GŁOŚNIEJ

Coraz więcej młodych ludzi sięga po język swoich przodków, który jeszcze niedawno kojarzył się głównie z domem. Dziś kaszubski wraca do codziennego życia i staje się świadomym wyborem kolejnych pokoleń

Joanna Surażyńska-Bączkowska

szubski nie jest dodatkiem, lecz realną częścią szkolnej codzienności. Warto podkreślić, że mówimy tu o udziale uczniów uczęszczających na lekcje języka kaszubskiego wśród wszystkich uczniów szkół podstawowych w danej gminie, co dobrze pokazuje zasięg nauczania.

W powiecie kartuskim sytuacja jest bardziej zróżnicowana. W Chmielnie odsetek uczniów uczących się kaszubskiego wynosi 32,67 proc., w Sierakowicach 31,83 proc., w Stężycy 29,26 proc., w Kartuzach 24,85 proc., w Somoninie 22,12 proc., w Przdokowie 20,78 proc., a w Żukowie 19,70 proc. Dane pokazują więc, że choć kaszubski jest tu obecny, jego popularność wyraźnie zależy od lokalnych uwarunkowań, tradycji, skali gminy oraz aktywności środowisk szkolnych.

Zestawienie ZK-P pokazuje również szkoły podstawowe z największą liczbą uczniów uczęszczających na kaszubski. W czołówce znalazły się m.in. ZSP nr 9 - Szkoła Podstawowa nr 7 im. mjr. M. Stąbego

w Gdańsku, gdzie języka uczy się 191 uczniów, Szkoła Podstawowa w Tuchomiu (170 uczniów), Szkoła Podstawowa im. Jana Pawła II w Leźnie (157 uczniów), Szkoła Podstawowa im. ppor. Klemensa Wickiego w Pępowie (155 uczniów) oraz Szkoła Podstawowa im. Jana Pawła II w Borkowie (152 uczniów). Jednocześnie statystyki uświadamiają, jak duże są różnice między gminami, gdy spojrzeć na nie procentowo. Znacznie niższy udział odnotowano w dużych miastach. W Gdańsku języka kaszubskiego uczy się 2,80 proc. uczniów szkół podstawowych, w Sopocie 2,24 proc., a w Gdyni 1,16 proc. Różnice między gminami wiejskimi i miejskimi są

więc bardzo wyraźne i pokazują, że to właśnie poza największymi miastami język kaszubski jest częściej traktowany jako naturalny element edukacji regionalnej. Dane nie przesądzą o przyczynach, ale jasno pokazują skalę kontrastu pomiędzy miejscami, gdzie kaszubski jest codziennością, a tymi, gdzie pozostaje wyborem niszowym.

Jeśli chodzi o szkoły ponadpodstawowe, sytuacja wygląda dużo słabiej. W powiecie kartuskim języka kaszubskiego uczy się zaledwie 0,72 proc. uczniów. W skali województwa największą liczbę uczniów odnotowano m.in. w Technikum nr 3 w Chojnicach (90 uczniów), Technikum Zawodowym nr 1

KASZUBSKI W SZKOLE TO NIE TYLKO JEDNA Z LEKCJI, ALE ELEMENT TOŻSAMOŚCI REGIONU. DZIECI I MŁODZIEŻ POZNAJĄ JĘZYK SWOICH PRZODKÓW

w Słupsku (56 uczniów) oraz Kaszubskim Liceum Ogólnokształcącym w Brusach (52 uczniów). W zestawieniu wyróżniają się także inne szkoły ponadpodstawowe, w których kaszubski wybiera większa grupa młodzieży, m.in. placówki w Pucku (40 uczniów) i Pelplinie (36 uczniów). W porównaniu z podstawówkami skala zainteresowania jest jednak wyraźnie mniejsza, co pokazuje trudniejszy etap utrzymania ciągłości nauki języka w kolejnych latach edukacji.

Kaszubski w oczach badaczy sprzed lat

Kaszubszczyzna przez lata budziła pytania: czy to język, dialekt, a może zbiór wielu lokalnych form mowy. Odpowiedzi na te wątpliwości próbowano uporządkować już przed niemal stu laty. W książce „Kaszubi. Kultura ludowa i język” z 1934 roku Friedrich Lorentz, Adam Fischer i Tadeusz Lehr-Splawiński przedstawiają obraz kaszubszczyzny jako zjawiska niezwykle złożonego, rozdrobnionego i silnie związanego z historią Pomorza.

Autorzy podkreślają na początku, czym w ogóle jest język ludowy. To język szerokich warstw społeczeństwa, który w przeciwieństwie do języka literackiego nie jest jednolity. Wręcz przeciwnie: im większy obszar jego występowania, tym silniejsze jego rozczłonkowanie.

Kaszubszczyzna jest tu podawana jako przykład wręcz modelowy. Już na poziomie ogólnym dzieli się ona na grupy północno- i południowo-pomorskie, a dalej na kolejne narzecza i dialekty. Te z kolei rozpadają się na mniejsze gwary - często tak zróżnicowane, że mieszkańcy bardziej oddalonych miejscowości mogą mieć trudności ze wzajemnym zrozumieniem.

Autorzy wskazują, że na samym Pomorzu można było wyróżnić dziesiątki takich gwar, a ich liczba sięgała nawet około 70.

Tak duże zróżnicowanie miało konkretne konsekwencje. Jak opisują badacze, dla osób pozostających w obrębie jednej wsi lub najbliższej okolicy nie stanowiło to problemu. Jednak dla warstw wyższych, utrzymujących kontakty między różnymi regionami, używanie wyłącznie lokalnej gwary było niewystarczające.

Z tego powodu pojawiła się potrzeba stworzenia języka „ponadgwarowego”, czyli języka kulturowego - zrozumiałego dla szerszego obszaru. I tu pojawia się kluczowa kwestia: według autorów książki, takim językiem kulturowym dla Pomorza nie stała się kaszubszczyzna, lecz język polski.

Jednocześnie kaszubszczyzna pozostała językiem ludowym, używanym w codziennym życiu, ale nie rozwiniętym

w kierunku ogólnego języka kulturowego czy literackiego.

Autorzy podkreślają również, że kaszubszczyzna nigdy nie stała się językiem urzędowym.

W książce szczegółowo opisano wpływy innych języków na kaszubszczyznę. Najsilniejsze były wpływy polskie. Autorzy wskazują, że z czasem język polski coraz mocniej oddziaływał na kaszubszczyznę, prowadząc do zmian fonetycznych i stopniowej polonizacji, szczególnie w południowych dialektach.

Zauważalne są także wpływy niemieckie, jednak - jak podkreślono - nie można mówić o tym, by język niemiecki jako urzędowy w istotny sposób przekształcił strukturę języka ludowego. Wiele zapożyczeń wiąże się raczej z kontaktami osadniczymi, niż z administracją.

Ciekawym elementem są również ślady łaciny. Autorzy wskazują na formy występujące w kaszubszczyźnie, które mogą być bezpośrednim efektem wpływu łacińskich końcówek, a nie zapożyczeń z języka polskiego.

W książce szczegółowo omówiono także pierwsze próby zapisu kaszubszczyzny. W XVI wieku pojawiają się teksty związane z postacią Szymona Krofeyę, a później Michała Pontanusa. Ich język nadal pozostaje jednak silnie związany z lokalnymi gwarami i nie tworzy jednolitej normy.

Dopiero w XIX wieku Florian Ceynowa podejmuje próbę stworzenia bardziej uporządkowanego systemu zapisu. Wprowadza własną ortografię i stara się oddać wszystkie dźwięki kaszubskie w piśmie. Podobne działania podejmował również Stefan Ramułt, który także próbował stworzyć system zapisu języka kaszubskiego. Jego podejście różniło się jednak od koncepcji Ceynowy, co dodatkowo utrudniało ujednoczenie języka.

Autorzy podkreślają, że problemem pozostawał brak jednej wspólnej normy - każdy twórca opierał się na innej gwarze. Dopiero na początku XX wieku, m.in. dzięki działalności Aleksandra Majkowskiego i wydawaniu pisma „Gryf”, rozpoczęła się dyskusja nad stworzeniem bardziej jednolitego alfabetu i formy językowej.

To pokazuje, że kaszubszczyzna przez lata pozostawała językiem codzienności - żywym, ale rozproszonym i bez jednej wspólnej formy. Mimo to przetrwała i dziś wraca w nowej roli.

Coraz częściej jest nie tylko mową domu, ale świadomym wyborem młodego pokolenia. To znak, że kaszubski nie jest już tylko dziedzictwem przeszłości, ale ważną częścią współczesnej tożsamości regionu.

SIEDZĄ W TELEFONIE I GRAJĄ W MATEMATYKĘ

Co robi rodzic, gdy na pytanie: „jak było w szkole?“, uzyskuje lakoniczną odpowiedź: „okej”? Wymyśla aplikację, by dzięki niej syn czy córka rozwiązywał zadania niczym grę, a on miał wgląd w to, jak jego pociecha radzi sobie z poszczególnymi działami matematyki. Obserwować postępy ucznia może także nauczyciel

Leszek Kalinowski

Uczniowie ostatnich klas szkół podstawowych – biorąc pod uwagę wyniki ogólnopolskiego egzaminu ósmoklasisty – najsłabiej wypadają z matematyki. Ten przedmiot uznawany jest za najtrudniejszy i nie każdy też rozumie, po co mu w życiu te ułamki, procenty, równania. Młodzi ludzie nie chcą ślepcznie godzinami nad zadaniami. Z przyjemnością spędzają za to czas siedząc z nosem w telefonie.

Technologia w nauczaniu

Zielonogórzanin, Tomasz Weber, wiele razy pytał syna, jak tam w szkole, czy ma trudności z jakimiś zadaniami z matematyki, bo przecież przed nim egzamin ósmoklasisty. Od jego wyników zależy m.in. to, czy dostanie się do wymarzonej szkoły ponadpodstawowej. Rodzice nastolatków doskonale wiedzą, jak niechętnie ich dzieci rozmawiają o szkole czy matematyce.

- Kiedy postanowiłem jakoś pomóc synowi w przygotowaniach do egzaminu z matematyki, szybko przekonałem się, że jest tak, jak pokazują liczne badania – mówi Tomasz Weber. - Raport Instytutu Badań Edukacyjnych z 2015 roku, autorstwa Marcina Karpińskiego i Małgorzaty Zambrowskiej, opisał to precyzyjnie: na lekcjach matematyki dominuje nauczanie algorytmiczne. Nauczyciel przekazuje schemat, uczeń go ćwiczy. Cele podstawy programowej – rozumowanie, strategie, modelowanie – są realizowane słabo. Minęło dziesięć lat i diagnoza z rządowej Polityki Cyfrowej Transformacji Edukacji z 2024 roku mówi to samo: podstawa programowa nie wykorzystuje po-

tencjału technologii w nauczaniu matematyki.

Jednocześnie dane międzynarodowe TIMSS 2023 pokazują, że polscy czwartoklasiści zajmują dziesiąte miejsce na świecie w matematyce – ale jednocześnie najgorzej spośród 58 badanych krajów oceniają przystępność nauczania tego przedmiotu. Dzieci zdają testy, ale coraz mniej z nich lubi matematykę i rozumie, po co się jej uczy. Z tych samych danych wynika jeszcze jedno: uczniowie z wysoką samooceną umiejętności cyfrowych uzyskują średnio więcej punktów z matematyki niż ci z niską. Kompetencje cyfrowe i wyniki matematyczne idą w parze.

Uczeń gra w to, co lubi

Skoro młodzi ludzie nie potrafią dziś żyć bez telefonów, uwielbiają grać, pokonywać różne poziomy itd., warto zafundować im matematykę w formie gry, w której będą mogli ze sobą rywalizować, zdobywać punkty i odznaki.

Tomasz Weber nie miał wątpliwości, by taką aplikację przygotowującą grę stworzyć we współpracy z ekspertami. Powołał do tego jednoosobową firmę.

- Jeśli uczeń ma jakieś pasje, czymś bardzo się interesuje, to dla niego zadania mogą dotyczyć właśnie historii, wydarzeń, rzeczy, postaci z gier, ulubionych filmów – podkreśla pomysłodawca pierwszej w Polsce aplikacji, przygotowującej do egzaminu ósmoklasisty z matematyki. - Math Eddie dostosowuje treść zadań do zainteresowań dziecka. Takich jak choćby minicraft, sport, zwierzęta, czyli jest to matematyka w świecie, w którym uczeń czuje się komfortowo. I w formie jaką nastolatki lubią, czyli gry.



Tomasz Weber postanowił pomóc synowi w przygotowaniach do egzaminu z matematyki - efektem jest aplikacja

System wytłumaczy krok po kroku

Jak pokazuje nam na ekranie Tomasz Weber, uczeń dostaje dostęp do zadań, na rozwiązanie których wystarczy mu 10 minut. Może się nimi zająć np. jadąc autobusem do szkoły czy leżąc po południu na kanapie w domu. Nastolatek sam decyduje, kiedy zacznie grać... Nie musi się martwić, czy potrafi rozwiązać zadania. Jeśli będzie miał trudności, system cierpliwie wytłumaczy i da kolejną szansę. Zero presji. Młody człowiek będzie mógł też śledzić swoje postępy. Specjalne paski i statystyki poka-

zują, ile już umie. Jednocześnie będzie zdobywać punkty, odznaki, piąć się w rankingu. Zobaczy, jak wypada na tle klasy, województwa, Polski. To wszystko przyczyni się, że motywacja poświęcenia 10-15 minut dziennie będzie większa.

Raz na dwa tygodnie będzie mógł rozwiązać test – egzamin ósmoklasisty przygotowany przez Centralną Komisję Egzaminacyjną w poprzednich latach – i sprawdzić, jak wypada.

Aplikacja pozwala też nauczycielowi sprawdzać, jakie postępy robi klasa czy konkretny uczeń. Z jakim działem czy typem zadań młodzi ludzie mają

najwięcej problemu i nad czym trzeba więcej popracować, by odnieść sukces na egzaminie.

Wsparcie, a nie konkurencja

Math Eddie to nie konkurencja dla nauczyciela, ale uzupełnienie lekcji, trening. Dzięki czemu uczniowie przychodzą lepiej przygotowani na zajęcia (zwłaszcza że nie ma już zadań domowych).

Warto zauważyć, że nauczyciele w badaniu NASK z 2024 roku wskazywali, że widzą potencjał AI w personalizacji nauczania, automatyzacji rutynowych zadań i analizie postępów uczniów – ale jednocześnie nie mają narzędzi ani szkoleń, żeby z tego potencjału korzystać.

Ogólnopolski Program Wykorzystania Technologii w Szkołach to inicjatywa pilotażowa, której celem jest praktyczne przetestowanie, jak nowoczesne narzędzia technologiczne – w tym oparte na sztucznej inteligencji – mogą wspierać nauczanie matematyki w szkołach podstawowych. To próba zbudowania mostu między tym, co wiemy z badań i raportów, a tym, co dzieje się codziennie w klasie.

Wracając do gry – nie tylko nauczyciel widzi, jak pracują uczniowie, rodzice również mają możliwość na bieżąco dowiadywać się, kiedy ich pociecha siada do zadań, ile czasu zajmuje jej ich rozwiązanie, ewentualne które z nich sprawiają największe trudności. System prowadzi dziecko przez cały materiał krok po kroku. Rodzic może więc mieć pewność, że nic nie zostanie pominięte. Nie musi też ciągle powtarzać: weź się za naukę! Rywalizacja sprawia, że dziecko samo chce wracać do aplikacji.

- Tworzymy narzędzie, które uczy przez dialog, analizuje postępy i reaguje na potrzeby dziecka – tak, jak nie zawsze może to zrobić człowiek, ale rzecz jasna odnosimy się z szacunkiem do roli nauczyciela – podkreśla pomysłodawca aplikacji. - Edukacja nie musi być samotna, nudna ani przestarzała. Chcemy, by technologia była codziennym sprzymierzeńcem w mądrej, nowoczesnej szkole. Naszą misją jest wykorzystanie sztucznej inteligencji i technologii konwersacyjnych, by wspierać codzienną naukę matematyki – nie przez zastępowanie nauczyciela, ale przez realne wsparcie ucznia, rodzica i szkoły.

To oni stworzyli aplikację

Oczywiście, aplikacja to nie tylko dzieło jednego człowieka. Stworzył ją zespół. Kim są jego członkowie?

Tomasz Weber to ojciec dwójki dzieci, absolwent programu Competing in the Age of AI na Harvard Business School i manager z wieloletnim doświadczeniem w prowadzeniu

dużych projektów komunikacyjnych i cyfrowych w międzynarodowych firmach.

Potrzebny był ekspert merytoryczny. Do współpracy zaproszona więc została Katarzyna Borkowska

- mama dwóch córek, matematyczka z powołania, nauczycielka szkoły podstawowej oraz egzaminatorka CKE. W projekcie Math Eddie odpowiada za dobór treści, profile nauczania oraz praktyczne wykorzystanie narzędzia w codziennej pracy nauczyciela.

Jakub Siemak – ojciec trójki chłopaków. Doświadczony ekspert digital, od lat zajmujący się rozwiązaniami aplikacji, interfejsów i integracji. W projekcie odpowiada za funkcjonalność systemu – automatyzację procesów, integrację narzędzi oraz rozwiązania raportowe.

Piotr Charyna – jest informatykiem i programistą, dla którego nowoczesne technologie to nie tylko praca, ale przede wszystkim wielka pasja. Nie ogranicza się do jednej dziedziny – chętnie podejmuje wyzwania w różnych językach i technologiach. W projekcie jest odpowiedzialny za kwestie programistyczne, bazę danych i rozwój oraz ulepszanie Math Eddie.

Najpierw pilotaż

Do udziału w darmowym pilotażu zostały zaproszone szkoły. Do tej pory zgłosiło się ich już 30. Jedną z nich jest SP w Klenicy w powiecie zielonogórskim.

- Trudno dokładnie wypowiedzieć się na temat aplikacji. Korzystamy z niej od trzech tygodni. Ale poznałem ją jako matematyk i dobrze oceniam. Każda aplikacja, nowe narzędzie, które wspomaga nauczanie jest dziś pożądane – powiedział „GL” Marcin Cieślak, dyrektor szkoły. - Więcej będzie można powiedzieć, kiedy z aplikacją będzie się pracować od początku roku szkolnego i mobilizować uczniów, by aktywnie z niej korzystali.

Rodzice uczniów, którzy już korzystają z programu też są zadowoleni. I zwracają uwagę na to, że gdy ich pociecha ma np. dysleksję, może spokojnie pracować nad zadaniami w swoim tempie i bez stresu. Inni podkreślają, że uczniowie teraz sami siadają do matematyki, by pograć... A panel rodzica pokazuje dokładnie, co dziecko przerobiło i gdzie ma problemy.

Uczniowie natomiast nie kryją zadowolenia z nowego narzędzia. Bo mówią, że korzystając z niego czują się, jakby grali w fajną grę, a nie uczyli się.

Do egzaminów ósmoklasisty jeszcze trochę czasu (11-13 maja). Może warto spróbować tej formy przygotowania do testów z matematyki? Przecież to nic nie kosztuje! Nie tylko ósmoklasisty, lecz i siódmoklasisty mogą sięgnąć po aplikację i przekonać się, czy ta gra jest właśnie dla nich.

Katolicy i anglikanie na ścieżkach ekumenizmu

60 lat temu, 23 marca 1966 r., abp Canterbury Arthur Michael Ramsey spotkał się w Watykanie z Pawłem VI. Było to pierwsze spotkanie przywódców obu Kościołów od czasów reformacji

Mariusz Grabowski

Hierarchowie rozmawiali, odmówili wspólną modlitwę, a konsekwencją spotkania było zapoczątkowanie trwającego do dziś dialogu ekumenicznego. Jego pierwszą oznaką teologiczną była wspólna deklaracja w Bazylice św. Pawła za Murami. Mówiono, że zakończony właśnie Sobór wydaje „pierwsze owoce ekumenizmu”.

Struktury i hierarchie

Zacznijmy od podstaw, czyli krótkiego kursu z dziejów anglikanizmu. Narodził się w momencie, gdy w 1543 r. Henryk VIII Tudor, za zgodą parlamentu i prymasa Anglii Thomasa Cranmera ogłoszono niezależność tamtejszego Kościoła od Rzymu. Akt supremacji, naśladując tytułaturę papieską, ogłosił króla Anglii „jedyną i najważniejszą głową na Ziemi Kościoła Angielskiego”.

Kościół Anglii jest w sensie prawnym Kościołem państwowym, a najwyższą władzę zwierzchnią z prawem mianowania biskupów sprawuje król lub królowa. Władzę ustawodawczą sprawuje Synod Generalny. Kościół składa się z 42 diecezji i diecezji europejskiej, do której należy m.in. kapelania warszawska.

Od strony doktrynalnej anglikanizm w pewien sposób łączy w sobie cechy katolicyzmu (podkreślanie roli hierarchii i tradycji) z protestanckimi (nadrzędna roli Biblii jako pierwszej i głównej reguły wiary). Bywa określany jako „droga środka” między katolicyzmem rzymskim a protestantyzmem. Wewnątrz Kościoła anglikańskiego wyróżnia się konserwatywny, zbliżony do rzymskiego katolicyzmu tzw. High Church, ludowy i bliższy kalwinizmowi Low Church oraz liberalny Broad Church.

W jakim charakterze?

Abp Ramsey (1904-1988), setny w kolejności abp Canterbury, duchowy zwierzchnik wspólnoty na całym świecie, uznawany był za przedstawiciela owego anglikanizmu „wysokokościelnego”. Nierzadko

podejmował w swoim nauczaniu wspólne wątki tradycji rzymskokatolickiej i luteranckiej. Dlatego na owym watykańskim spotkaniu nie zgłosił sprzeciwu np. wobec pomysłu ustanowienia Międzynarodowej Komisji Anglikańsko-Katolickiej, mającej na celu prowadzenie poważnego dialogu teologicznego, który, jak zapisano: „oparty na Ewangeliach i starożytnych wspólnych tradycjach, prowadziłby do owej jedności w prawdzie, o którą modlił się Chrystus”.

Historycy Kościoła zwracają uwagę na istotny szczegół: spotkanie abpa Ramseya z papieżem było wydarzeniem oficjalnym. Nieoficjalnie bowiem prawie sześć lat wcześniej, 2 grudnia 1960 r., na dwa lata przed Soborem Watykańskim II, u Jana XXIII gościł inny wysoki hierarcha anglikański - abp Geoffrey Francis Fisher. Wizyta ta miała jednak charakter ściśle prywatny i miała na celu wysondowanie stanu relacji między oboma Kościołami.

Anglicy w Rzymie

Od lat 60. wszyscy arcybiskupi Canterbury odwiedzają kolejnych papieży. Zawsze też spotykają się z nimi, kiedy ci odbywają podróże apostolskie do Anglii. Spotkania mają również miejsce w anglikańskim kościele Wszystkich Świętych, który wznosi się w centrum Rzymu przy Via del Babuino, nieopodal Placu Hiszpańskiego.

Został zbudowany w 1882 r. w stylu neogotyckim z elementami neoromańskimi według projektu angielskiego architekta George'a Edmonda Streeta. To tam abp Ramsey, niecały rok po wizycie u Pawła VI, powołał Centrum Anglikańskie. Zadaniem jego dyrektora (od stycznia 2025 r. funkcję tę sprawuje bp Anthony Ball) jest reprezentowanie abpa Canterbury przy Stolicy Apostolskiej, czyli de facto bycie jego ambasadorem.

Ostatnim papieżem, który odwiedził kościół przy Via del Babuino był Franciszek. Był tam w niedzielę 26 lutego 2017 r., a jego odwiedziny upamiętniały 50-lecie utworzenia w Wiecznym Mieście Centrum Anglikańskiego.



Historycy Kościoła zwracają uwagę na istotny szczegół: spotkanie abpa Ramseya z papieżem było wydarzeniem oficjalnym, wcześniej dochodziło do spotkań prywatnych

Benedykt rozstrzyga

Wedle wielu opinii papież Franciszek był w kwestii relacji katolicko-anglikańskich dość wstrzemięźliwy. W przeciwieństwie do swego poprzednika - Benedykta XVI, który 4 listopada 2009 r. wydał szeroko komentowaną konstytucję apostolską „Anglicanorum coetibus”.

Dokument był reakcją na zjawiska zachodzące w łonie wspólnoty anglikańskiej, zaś od strony formalnej odpowiedział na list 50 biskupów-konserwatystów i ponad 100 wspólnot anglikańskich nieuznających m.in. kapłaństwa kobiet, sprzeciwiających się udzielaniu parom homoseksualnym sakramentu małżeństwa i chcących podlegać zwierzchnictwu Stolicy Apostolskiej oraz uznających papieża jako głowę Kościoła.

Konstytucja zatwierdziła przyjęcie do Kościoła katolickiego części wspólnot anglikańskich oraz uznanie ich odrębność jurysdykcyjną. Konstytucja przewidywała ponadto możliwość posiadania żon przez duchownych anglikańskich.

Zastępy duchownych

Zjawisko nie jest nowe. Według danych Ośrodka Benedykta XVI na St Mary's Twickenham University w Londynie, zebranych na zlecenie Stowarzyszenia św. Barnaby (istnieje od 1896 r. i wspiera duchownych oraz osoby konsekrowane z innych wyznań, którzy pragną zostać katolikami), w latach 1992-2024 ok. 700 duchownych z Kościoła anglikańskiego w Wielkiej Brytanii, w tym 16 biskupów, przeszło na katolicyzm.

Spośród owych anglikańskich konwertytów na katolicyzm, 486 zostało katolickimi kapłanami, a 5 diakonami stałymi. 69 proc. zostało wyświęconych dla diecezji w Anglii i Walii, pozostali dla diecezji na świecie lub w zgromadzeniach zakonnych, do których wstąpili.

Co ciekawe, tzw. pierwsza fala konwersji nastąpiła po decyzji Kościoła Anglii z 1992 r., która weszła w życie dwa lata później, o święceniach kapłańskich dla kobiet. Do Kościoła katolickiego przeszło wówczas

ponad 150 anglikańskich duchownych.

Casus ks. Maughana

Konstytucję „Anglicanorum coetibus” reagowała na zmiany w obyczajowości anglikanizmu, ale nie przewidywała skutków wydarzenia z 13 października 2019 r. To wtedy papież Franciszek kanonizował kard. Johna Henry'ego Newmana, filozofa, teologa, pisarza, najwybitniejszego przywódcę anglokatolicyzmu i jednego z liderów tzw. Ruchu oksfordzkiego, którego spora część liderów przeszła w XIX w. na katolicyzm.

Wśród anglikańskich liberałów i co radykalniejszych wspólnot ponownie podniosły się głosy o katolickim prozelityzmie i ekspansji „papizmu”. Ale statystyka okazuje się bezlitosna: jeszcze w latach 80. 75 proc. mieszkańców Wysp określało się jako anglikanie, a dziś to zaledwie 25 proc. Laicyzują się zwłaszcza ci, którzy byli anglikanami wyłącznie ze względu na tradycję.

Ale bywają przypadki odwrotne. W sierpniu 2025 r. katolicka diecezja Middlesborough, znajdująca się w północnej Anglii, a więc w tej części Anglii, która wykazuje spory odsetek społeczności katolickiej ogłosiła, że ks. Stephen Maughan „po długim namyśle zdecydował się opuścić Kościół rzymskokatolicki i od połowy września rozpocznie służbę w anglikańskiej diecezji Yorku”.

Czy to ten moment?

Wydaje się jednak, że problemy Kościoła anglikańskiego wcale się nie kończą. 3 października 2025 r. na urząd arcybiskupa Canterbury została mianowana Sarah Mullally, pierwsza kobieta na tym stanowisku. Po tej nominacji w Kościele anglikańskim doszło de facto do schizmy.

Dwa tygodnie później abp Laurent Mbanda z Rwandy, Przewodniczący Rady Prymasów Światowej Konferencji Anglikańskiej nt. Przyszłości wydał oświadczenie, że nie uznają już „duchowego autorytetu abpa Canterbury, aby zachować wierność Pismu Świętemu

i tradycji kościelnej”. Tym samym grupa Kościołów anglikańskich, przede wszystkim z Afryki i Azji, ogłosiła odejście od wspólnoty z Kościołem Anglii i utworzenie „Światowej Wspólnoty Anglikańskiej”.

Jak czytamy w deklaracji, kierować nią będzie Rada Prymasów, która wybierze swojego przewodniczącego jako „primus inter pares”. Diecezja lub prowincja, która zechce przystąpić do Wspólnoty, będzie musiała przyjąć Deklarację Jerozolimską z roku 2008 - anglikańskie wyznanie wiary, skupione wokół Pisma Świętego, wierności doktrynalnej oraz misji ewangelicznej.

Owoce ekumenii

Wróćmy do katolicko-anglikańskiego ekumenizmu. 5 października 2016 r., w półwiecze wizyty abpa Ramsey'a w Watykanie, papież Franciszek i ówczesny abp Canterbury Justin Welby wydali wspólną deklarację.

Zacytujmy jej fragment: „Rozbieżności nie mogą nam przeszkodzić w uznaniu jedni drugich za braci i siostry w Chrystusie ze względu na nasz wspólny chrzest. Nie powinny nas też nigdy powstrzymywać przed odkrywaniem i radowaniem się z głębokiej wiary chrześcijańskiej i świętości, które znajdujemy w tradycjach drugiego. Te rozbieżności nie powinny prowadzić nas do umniejszenia naszych wysiłków ekumenicznych”.

Siedem lat później kard. Vincent Nichols, przewodniczący konferencji episkopatu Anglii i Walii, czyli katolicki prymas Anglii mógł już powiedzieć: „Jeśli w czasie koronacji Elżbiety II w 1953 r. było nie do pomyślenia, aby katolicki prymas Anglii wziął udział w takim obrzędzie, to dziś, w roku 2023, byłoby nie do pomyślenia, aby w nim nie uczestniczył”.

Faktycznie, podczas koronacji Karola III kard. Nichols znalazł się wśród religijnych VIP-ów, obok sekretarza stanu Stolicy Apostolskiej kard. Pietro Parolina. Co więcej, udzielił nowemu monarsze błogosławieństwa.

W KSIĘGARNIACH

W Oszańcu nikt nie ma szans...

W przyszłym tygodniu premiera „Oszańcu” Grzegorza Mirosława (wyd. Znak). Jan Stelmach budzi się na drodze w Beskidach. Jest zakrwawiony, a jego żona i córka zniknęły. Staje się podejrzany nie tylko o uprowadzenie najbliższych, ale również o brutalne zabójstwo. Śledztwo prowadzi coraz głębiej w krainę Oszańcu – najbardziej odludnego obszaru Beskidu Żywieckiego.

ZA TYDZIEŃ

Jak stalinowscy prokuratorzy wspierali bezpieczeństwo

Wprowadzenie w Polsce po 1944 r. władzy ludowej nie byłoby możliwe bez zaprzęgnięcia w służbę reżimu sądownictwa oraz prokuratury.



FOT. CC

Służba Bezpieczeństwa i Milicja Obywatelska na tropie subkultur

Anita Czupryn
redakcja@polskatimes.pl

Bitnicy, gitowcy, szalikowcy. Skinheadzi i poppersi. Hipisi, punki, metalowcy. W PRL subkultura młodzieżowa były solą w oku ówczesnej władzy.

Subkultura młodzieżowa wszędzie na świecie uważane były za element ideologicznie obcy i niebezpieczny; w tym sensie PRL niczym nie różniła się od dajmy na to USA czy Związku Radzieckiego. Nie ważne, czy to bikiniarze, gitowcy, hipisi czy punki – wszyscy tak samo wrogo odnosili się do panującego ustroju, a po ich kolorowych, nastroszonych (bądź łysych) głowach niewątpliwie chodziły pomysły na temat tego, jak pokonać system.

Ubiór symbolem buntu

W Polsce stary ład odszedł wraz z drugą wojną światową. Chodziło o to, aby zmanifestować własne poglądy, wyróżnić się. A najłatwiej było zrobić to za pomocą ubioru. Pod koniec lat 40. i w latach 50., obok obowiązującego kanonu zetempowskich uniformów, zaczęły więc pojawiać się kolorowe krawaty i także skarpetki, oryginalne nakrycia głowy, luz i nonszalancja. Innymi słowami, pojawili się „bikiniarze”. Ich strój nie tylko łamał kanony powszechnej mody – on miał być buntem, miał prowokować, miał śmiać się władzy w twarz.

Bikiniarze słuchali jazzu i fascynowali się Ameryką, jej kulturą. Tego władza nie mogła zdzierżyć. Nie dość, że strój nadto ekscentryczny, to na dodatek szokujące wręcz, niekonformistyczne zachowanie. Przyzwolenia na istnienie burzycieli zastanego porządku być nie mogło. Bikiniarze spotykali się więc z oficjalnym potępieniem, traktowano ich niczym chuliganów czy też nieprzystosowanych społecznie bumelantów.

Hipisi i wybielacz Tri

Tematowi subkultur młodzieżowych w PRL poświęcił się Mirosław Pęczak, kulturo-



Koncert punkowo-nowofalowej Siekiery na Festiwalu Muzyków Rockowych w Jarocinie, 4 sierpnia 1984 roku

znawca, dziennikarz, ekspert od kultury młodzieżowej, profesor nadzwyczajny nauk humanistycznych, wydając między innymi książkę „Subkultura w PRL. Opór, kreacja, imitacja”. Warto sięgnąć po tę pozycję już choćby z tego powodu, że autor dokonuje swoistej syntezy zjawisk związanych z subkulturami na przestrzeni kilkudziesięciu lat w PRL-u, z subkulturami, które wprost kontestowały ustrój socjalistyczny.

Jeszcze w latach 50. i 60. w socjalistycznej rzeczywistości, w której nie liczyły się autorytety, a władza walczyła głównie z antykomunistami, niczym złe kwiaty w miastach zakwitwały grupy prawdziwych chuliganów o typowo kryminalnym charakterze. To z nich w dużej części następnie wyrastali gitowcy (inaczej git-ludzie) czy garownicy. Honor, lojalność, nieufność, lokalny, osiedlowy patriotyzm – te cechy wyznaczały ich hierarchię. Charakteryzowali się krótkimi fryzurami, ubrani w wiatrówki szwedki i szerokie spodnie, dbali o powierzchowność. Dla nich brudasami byli „hipisi”.

O pierwszych hipisach w Polsce powstało już sporo publika-

cji; generalnie uważa się, że pierwsi hipisi pojawili się w drugiej połowie lat 60. Sporo różnili się od hipisów amerykańskich, znanych nam z filmu Miloša Formana „Hair”. Polscy hipisi ani nie palili wezwań do wojska, ani nie używali narkotyków, a przynajmniej nie na taką skalę, jak to się działo w USA.

Popularne środki psychoaktywne w ówczesnym czasie w Polsce to wybielacz Tri, którego wdychanie nie dawało żadnego „odlotu”, za to niszczyło zdrowie. Dopiero w drugiej połowie lat 70. wśród polskich hipisów zaistniała heroina produkowana ze słomy makowej.

Idą „Kudłacze”

Bogusław Tracz, historyk IPN w Katowicach, autor książki o polskich hipisach („Hippiesi, kudłacze, chwasty. Hipisi w Polsce w latach 1967-1975”) uważa, że jednym z najważniejszych miejsc, skąd rozprzestrzeniła się hipisowska kultura, był Gdańsk, do którego przyplądali marynarze z całego świata i handlowali płytami winylowymi, dzięki czemu w Polsce za brzmieć mogły utwory Boba Dylana czy Beatlesów.

Władza jak najbardziej interesowała się hipisami, już chociażby przez to, że ich kolorowe stroje zbyt wyróżniały się w szarej komunistycznej rzeczywistości. Esbecy zaczęły więc rozpracowywać polskie „dzieci kwiaty” w ramach akcji o kryptonimie „Kudłacze”. SB skończyła z inwigilacją hipisów w momencie, kiedy oni sami zaczęli się powoli wytracać, wpadając w heroinowe uzależnienie. Esbecy uznali, że hipisi dla systemu stali się niegroźni.

Filozofia „Proroka”

Polskich hipisów od amerykańskich różniło też to, że nasi nie kontestowali Kościoła ani religii. Przeciwnie – jedna z głównych postaci ruchu hipisów, Józef Pyrz, zwany „Prorokiem”, był studentem ATK i twórcą sztuki sakralnej. Jak pomysłodawca pierwszych komun na warszawskim Mokotowie i w Ożarowie Mazowieckim był represjonowany przez władze komunistyczne, w tym dwukrotnie aresztowany na kilka miesięcy. W środowisku hipisów ogromną popularność i poważanie zdobył też sobie ksiądz Andrzej Szpak, o którym wręcz mówiło się, że

jest duszpasterzem hipisów i innych wyrzutków społecznych.

Siła fascynowała z kolei skinów (skinheadów), którzy pojawili się w latach stanu wojennego. Według niektórych badaczy skini to były punki, które wykazywały się zbyt umiarkowaną postawą wobec świata. Stąd między skinami i punkami szybko zapanowała nienawiść. To skinheadzi często posługiwali się nacjonalistycznymi hasłami i neonazistowską symboliką. O punkach z kolei mówiło się, że to zbuntowana młodzież pochodząca z dobrych domów, dla których istotna była muzyka.

Punks Not Dead

Ruch punkowski zaistniał w połowie lat 70., a za jego prekursora uważa się zespół Sex Pistols. Subkultura ta narodziła się w Wielkiej Brytanii i USA. Ich ideologia mówiła o wyzwoleniu się spod władzy państwa, społeczeństwa, religii i mediów. Punkci wyznawali wolność wyznania, wolność poglądów. Negowali cały system społeczny – od rodziny, przez Kościół, do instytucji państwowych.

Rodziem punków była bezrobotna młodzież z robotniczych dzielnic. Punk oznacza śmieć, marność, odpad, śmierć. Stąd też wygląd zewnętrzny punków nie był wyrafinowany estetycznie: czarna wywiewiona skóra, wymalowane bądź wyszyte hasła w stylu „No future”, „Anarchy”, „No rules” czy nazwy zespołów. Do tego łańcuchy, żyłki, glany, kolczyki na twarzy i agrafki, kolorowe irokezy.

Przyjął temu organizacja festiwalu muzycznych, na których punki pojawiały się gremialnie. Władza stała na stanowisku: „niech się młodzież buntuje, byleby nie angażowała się w działalność opozycyjną”. W końcu punk nie walczył de facto z władzą, ale ze schematami tradycyjnej kultury i normami obyczajowymi, a to już było władzy jak najbardziej na rękę.

Na festiwalu

Czytając raporty esbecji o jednym z najważniejszych w latach 80. festiwalu, na który przybywały punki – mowa o Jarocinie,

obowiązkowym wręcz punka w kalendarzu każdego punka – nie można oprzeć się wrażeniu, że bardziej one śmieszają niż powodują grozę, jaka zawsze wiązała się z inwigilacją.

„Brudni, ubrani w zniszczone kurtki skórzane z trwałymi napisami. Włosy brudne, postawione na cukrze. Mogą być podgolone. Zgarbieni poruszają się zgodnie z założeniami „pełny luz”. Krok maszyny parowej – posuwisty. Nastawieni na pełne wyzycie emocjonalne, a przede wszystkim, żeby mogli się naćpać” – pisano w raportach (z dokumentu „Wydział Śledczy IPN – Jarocin”).

Dziś wiadomo, że esbecy mieli wewnątrz subkultur swoich ludzi. Umieszczali ich, aby robili zdjęcia, zbierali operacyjnie materiały, ale też, jak opowiadał raz Krzysztof Skiba, byli zaangażowani w zatrzymywanie zbuntowanego elementu. Jego na przykład w 1985 roku, po tym jak rozrzucił ulotki Ruchu Społeczeństwa Alternatywnego, zatrzymało dwóch punków, który chwycił go pod pachy i zaprowadził do samochodu, w którym przesłuchali go dwaj esbecy.

Gang duchownych

Z raportów esbeków wynikały różne bzdury i gdyby ktoś się na nich rzeczywiście opierał, mógłby dojść do absurdalnych wniosków. Na przykład takiego, że wśród metalowców są sataniści, którzy dokonują profanacji grobów, odprawiają czarne msze albo polują na młode dziewczęce, które następnie gwałcą.

Dziwne zwykły esbecy widzieli nawet w łagodnych członkach grup oazowych, które przybywały na jarociński festiwal, poruszeni impulsem ewangelizacji. Funkcjonariusze SB uważali ich za gang dowodzony przez księży i że duchowni próbują dogadać się z punkami. Miały to być sojusze przeciwko skinom – uzasadniali esbecy.

Uczestnicy jarocińskiego festiwalu opowiadali też i o takich sytuacjach, kiedy w 1986 r. ZOMO dostało rozkaz „bić łysych”, czyli skinheadów. Jako że wygoleni byli również pokojowo nastawieni wyznawcy Hare Krišana, oni również oberwali.

Bo każda z nas to niepowtarzalna historia

Za nami pierwszy tydzień głosowania w plebiscycie Kobięca Twarz Roku. To akcja, która potwierdza, że każda z nas jest niepowtarzalną, wspaniałą historią. Plebiscyt powstał, by ją pokazać.

Co kobieta, to historia - pełna codziennych wyzwań, zwycięstw, ale też porażek i refleksji, różnych spojrzeń na wiele spraw i opinii na różne tematy. Plebiscyt Kobięca Twarz Roku powstał po to, by te historie pokazać i dać im przestrzeń, by mogły wybrzmieć. W żadnym wymiarze nie jest to konkurs urody ani ranking wyglądzonych twarzy! To tętniąca radością, życiem i emocjami opo-

wieść o kobiecych pasjach, wyborach i roli, jaką kobiety odgrywają w swoim życiu.

- Kobięca Twarz Roku to magiczna, niezwykła akcja, w ramach której szukamy - najpierw w skali województwa, a potem całej Polski - pięknych i radosnych, ale przede wszystkim silnych, odważnych i mądrych życiowo kobiet w trzech kategoriach pokoleniowych: Córki, Matki i Kobięta Dojrzałe - mówi Daria Jankiewicz-Kaczmarek, która odpowiada za cały plebiscyt.

Na uczestniczki tej edycji czekają wspaniałe nagrody, a wśród nich zachwycający samochód - Citroen C3 Aircross Plus! Są też vouchery na wczasy

o wartości 5000 zł oraz limitowane zaproszenia na FORUM KOBIECOŚCI. Zawsze jesteśmy o to pytani przez chętne panie i zawsze odpowiadamy zgodnie z zasadami - nie, na to forum nie da się kupić biletu. To pełne atrakcji całonocne wydarzenie zarezerwowane jest wyłącznie dla uczestniczek akcji Kobięca Twarz Roku.

Organizujemy ją już po raz kolejny, dlatego wiemy, że zapada w pamięć na bardzo długo, stając się wspomnieniem pełnym wzruszających, dobrych i budujących emocji, o czym wzruszająco opowiadają liderki poprzednich edycji, a o czym przeczytacie na naszej stronie internetowej. Poprzed-

nie lata pokazały też, jak ogromnym zainteresowaniem cieszą się takie inicjatywy. Tysiące zgłoszeń i setki inspirujących historii udowodniły, że kobiety to prawdziwa duma naszego województwa.

Do udziału zgłaszają się panie w różnym wieku, o różnych doświadczeniach: od młodych kobiet rozpoczynających własną drogę, przez mamy, po kobiety dojrzałe, które mają za sobą bogate doświadczenia życiowe. Jedne decydują się na udział spontanicznie, inne za namową rodziny i przyjaciół. Dla niektórych to sposób, by opowiedzieć swoją historię, dla innych - by spojrzeć na siebie z nowej perspektywy lub po-

dzielić się pasjami i codzienną energią.

Kobięca Twarz Roku pozwala dostrzec, jak różnorodne mogą być kobiece doświadczenia. To także okazja do refleksji nad tym, czym jest kobiecość w codziennym życiu - w pracy, rodzinie, drobnych pasjach i wyborach. Każda z uczestniczek wnosi coś wyjątkowego: swoje podejście do życia, sposób działania, wrażliwość i determinację. - W tym właśnie tkwi siła plebiscytu - w docenieniu różnorodności i indywidualności - mówi Daria Jankiewicz-Kaczmarek. Poniżej prezentujemy sylwetki pierwszych uczestniczek z naszego województwa, które już zdecy-

dowały się dołączyć do akcji i opowiedzieć o tym, co dla nich ważne. Ich historie różnią się od siebie, ale łączy je jedno: autentyczność, radość życia i chęć bycia sobą! Każda sylwetka pozwala spojrzeć na świat oczami jednej z nas i zrozumieć, że bycie kobietą ma wiele wymiarów. Zapraszamy do poznania tych historii. W sylwetkach uczestniczek znajdziecie inspirację, różnorodność doświadczeń i oblicze współczesnej kobiecości. Kolejne panie pojawiają się za tydzień, bo Kobięca Twarz Roku to także przestrzeń spotkania w babskim gronie - nie tylko podczas Forum Kobięcości, ale również na łamach gazety i w internecie.

Więcej o akcji na www.polskanews.pl/kobiety

KATEGORIA POKOLENIOWA: CÓRKI



● ANNA MATRACKA
● powiat grójecki

- Autentyczność to dla mnie życie w zgodzie ze sobą i z tym, co naprawdę czuję. Moją największą pasją jest robienie rzeczy niezwykłych i przekraczanie własnych granic. Byłam już dwukrotną rekordzistką Guinnessa i planuję zdobyć trzeci rekord - mówi Anna Matracka, która z odwagą realizuje swoje pasje i nie boi się sięgać po rzeczy pozornie niemożliwe. Jej niezwykła droga związana z kolekcjonowaniem przedmiotów o tematyce psiej doprowadziła ją aż do zdobycia dwóch rekordów Guinnessa. To osiągnięcie jest dla niej nie tylko powodem do dumy, ale także dowodem na to, że marzenia można przekuć w rzeczywistość. Jednocześnie Anna Matracka spełnia

się zawodowo jako nauczycielka. Praca z uczniami daje jej poczucie sensu oraz możliwość inspirowania młodych ludzi do odkrywania własnych możliwości. - Wierzę, że każdy człowiek ma w sobie potencjał do robienia rzeczy wielkich, czasem tylko potrzebuje odwagi, by wto uwierzyć. Moje rekordy są dla mnie ważne, ale jeszcze ważniejsze jest to, że mogę dzięki nim pokazywać innym, że warto marzyć i iść swoją drogą - mówi. Droga do tych sukcesów nie zawsze była łatwa. W Jej życiu pojawiały się trudne momenty i chwile zwątpienia, kiedy osiągnięcie celu wydawało się bardzo wymagające. Mimo trudności nie poddała się. Ogromną siłą dawało Jej wsparcie najbliższych, które pomagało jej przetrwać trudniejsze chwile i iść dalej.

KATEGORIA POKOLENIOWA: MATKI



● DOROTA OLENDER
● powiat ostrowski

Dorota Olender to kobieta, dla której najważniejszą przestrzenią życia jest dom - miejsce pełne ciepła, bliskości i codziennych drobnych chwil, które budują poczucie szczęścia. Kobiecość odnajduje przede wszystkim w akceptacji siebie oraz w harmonii z tym, co przynosi zwyczajny dzień. - W pełni kobieco czuję się, kiedy potrafię zaakceptować swoje rzeczywiście i urojone niedoskonałości, gdy wszyscy wokół są radośni, kiedy szczęśliwie, a rudy kot przeciąga się leniwie na kanapie. Wtedy czuję się kompletna - mówi. Dla Doroty Olender każdy dzień jest wyzwaniem, ale jednocześnie szansą na budowanie przestrzeni, w której

bliscy czują się bezpiecznie i dobrze. Najważniejsze jest dla Niej to, aby dom był miejscem, do którego zawsze wraca się z radością i tęsknotą. W życiu kieruje się empatią i wrażliwością. Chciałaby, aby inni dostrzegali w Niej osobę, która potrafi stworzyć atmosferę miłości i zrozumienia - zarówno w rodzinie, jak i w pracy. Ważną rolę w Jej życiu odgrywa także praca zawodowa. Jako nauczycielka stara się nie tylko przekazywać wiedzę, ale przede wszystkim przygotowywać młodych ludzi do dorosłego życia. Radość odnajduje w prostych chwilach: - W codziennym życiu radość sprawiają mi długie spacery z psem, głaskanie mruczącego kota i praca w ogrodzie - mówi. Najważniejsza pozostaje jednak bliskość najbliższych.

KATEGORIA POKOLENIOWA: KOBIEȚY DOJRZAŁE



● MONIKA FLORCZYK
● powiat szydłowiecki

- W codziennym życiu najbardziej czuję się sobą wtedy, gdy mam chwilę spokoju i mogę robić rzeczy, które naprawdę lubię. Bardzo dużo daje mi moja praca - praca z twarzą, dotykem i uważnością. Kiedy wykonuję masaże i zabiegi pielęgnacyjne, czuję, że robię coś wartościowego dla innych kobiet - mówi Monika Florczyk. To kobięta, dla której praca jest nie tylko zawodem, ale również przestrzenią do budowania relacji i wspierania innych. W swojej pracy szczególnie ceni moment, kiedy klientka po zabiegu patrzy w lustro i w jej oczach pojawia się radość lub ulga. Właśnie te chwile dają jej poczucie sensu i satysfakcji. Kobiecość odnajduje także

w prostych rytuałach dnia codziennego. - Kiedy dbam o siebie, robię swój rytuał pielęgnacyjny, piję spokojnie poranną kawę albo wychodzę na spacer - podkreśla. Jednym z najważniejszych momentów w jej życiu była decyzja o odejściu z pracy na etacie. Był to krok wymagający odwagi i zmierzania się z niepewnością, ale jednocześnie otwierający drogę do realizacji prawdziwej pasji. Monika Florczyk postawiła wtedy na rozwój w kierunku naturalnych metod pracy z twarzą i pielęgnacji. Z czasem przekonała się, że była to decyzja, która pozwoliła jej uwierzyć w siebie i własną drogę. - To dla mnie coś więcej niż praca - to pasja i sposób, w jaki mogę wspierać inne kobiety w dbaniu o siebie i swoje samopoczucie - podkreśla.

Żarty się skończyły. Nadszedł czas na baraże o MŚ

Damian Świdorski
redakcja@polskapress.pl

Reprezentacja Polski już 26 marca zmierzy się z Albanią w półfinale baraży o udział w mistrzostwach świata 2026. Dziś rozpoczyna zgrupowanie.

Celem Biało-Czerwonych na najbliższe dni jest oczywiście nie tylko pokonanie Albańczyków, ale także w finale baraży - który zostanie rozegrany pięć dni później - Szwedów lub Ukraińców.

Bazą kadry od dziś będzie jak zwykle hotel Double Tree by Hilton, w warszawskim Wawrze. Piłkarze dostali czas na zameldowanie do godziny 15:00. Na 17:30 zaplanowano pierwszy trening (otwarty dla mediów przez pierwsze 15 minut), który odbędzie się na stadionie Legii.

Największym nieobecnym na poprzednich zgrupowaniach prowadzonych przez Jana Urbana był Oskar Pietuszewski. Tym razem skrzydłowy „Smoków” znalazł się wśród zawodników zaproszonych na zgrupowanie. Trudno jednak oczekiwać, że już przeciw Albanii zagra w wyjściowej jedenastce, nawet

mimo absencji Nikoli Zalewskiego, który będzie pauzował za kartki. Należy zakładać, że będzie to dzoker w talii naszego selekcjonera.

Oskar prezentuje się w Porto bardzo dobrze, zatem powołanie to naturalna sprawa. On zresztą zawsze był w szerokiej kadrze i na naszym radarze. Różnica polega na tym, że teraz już wysłaliśmy powołanie do Porto - w ten sposób selekcjoner tonował emocje związane z wcześniejszą nieobecnością utalentowanego nastolatka w jednym z licznych ostatnio wywiadów.

Faworytem czwartkowego półfinału jest oczywiście reprezentacja Polski, notowana aktualnie na 34. miejscu na świecie (Albania jest 63.). Bilans meczów z Albanią jest korzystny dla Biało-Czerwonych. W 15 dotychczasowych potyczkach, aż 10 razy polscy piłkarze cieszyli się z wygranych, trzykrotnie zanotowano remis, i tylko dwa spotkania zakończyły się wygranymi rywali. Bilans bramkowy to 20-10, ale pamiętać należy, że ostatnie starcie - we wrześniu 2023 roku - zakończyło się zwycięstwem podopiecznych selekcjonera Sylvinho.



Przed Janem Urbanem dwa - miejmy nadzieję - najważniejsze mecze w roli selekcjonera

Brazylijski szkoleniowiec tym razem wiele obiecuje sobie po formie Anisa Mehmetiego, na co dzień grającego w Ispwich Town oraz dobrze u nas zapamiętanego Ernesta Muciego. I ma w kadrze dwóch debiutantów. Nowymi członkami są obrońcy: Bujar Pllana z Lechii Gdańsk i Stavro Polo z AEK

Ateny, którzy przyjęli albańskie obywatelstwo. Pllana jest Kosowianinem i grał w reprezentacji młodzieżowej swojego kraju, a drugi jest Grekiem z Rodos, którego dziadkowie pochodzą z południowej Albanii.

Przestrzegam przed lekceważeniem Albanii, zwłaszcza że ostatni eliminacyjny mecz w wy-

konaniu naszej reprezentacji to był kompletny piach - ocenia były trener reprezentacyjnych bramkarzy, Jacek Kazimierski.

Kadra Polska baraże o MŚ 2026:

bramkarze: Bartłomiej Dragowski (Widzew Łódź), Kamil Grabara (VfL Wolfsburg), Mateusz Kochalski (Karabach Agdam), Bartosz Mrozek (Lech Poznań); **obrońcy:** Jan Bednarek i Jakub

Kiwior (FC Porto), Bartosz Bereszyski (Palermo), Matty Cash (Aston Villa), Tomasz Kędziora (PAOK Saloniki), Arkadiusz Pyrkacz (FC Sankt Pauli), Przemysław Wiśniewski (Widzew), Jan Zieliński (AS Roma); **pomocnicy:** Kamil Grosicki (Pogoń Szczecin), Jakub Kamiński (FC Köln), Jakub Moder (Feyenoord Rotterdam), Oskar Pietuszewski (FC Porto), Filip Różga (Sturm Graz), Michał Skóraś (KAA Gent), Bartosz Slisz (Broendby), Sebastian Szymański (Rennes), Nicola Zalewski (Atalanta Bergamo), Piotr Zieliński (Inter Mediolan); **napastnicy:** Robert Lewandowski (FC Barcelona), Krzysztof Piątek (Al-Duhail), Karol Świdorski (Panathinaikos Ateny).

Kadra Albanii na baraże o MŚ 2026:

bramkarze: Thomas Strakosha (AEK Ateny), Elhan Kastrati (AS Cittadella), Mario Dajnsani (FK Egnatii Rrogozhina); **obrońcy:** Mario Mitaj (Al Ittihad Džudda), Stavro Pillo (AEK Ateny), Naser Aliji (Dinamo City Tirana), Berat Gjimeshi (Atalanta Bergamo), Bujar Pllana (Lechia Gdańsk), Klisman Caka (Achmat Grozny), Arlind Ajeti (Bodrum FK), Ardian Ismajli (Torino), Elseid Hysaj (Lazio Rzym), Ivan Balliu (Rayo Vallecano); **pomocnicy:** Jasir Asani (Esteghlal Teheran), Kristijan Aslani (Besiktas JK), Nazmi Gripshi (Rubin Kazań), Arber Hoxha (GNK Dinamo), Qazim Laci (Caykur Rizespor Kulubu), Anis Mehmeti (Ipswich Town FC), Adrien Pajazit (HNK Hajduk), Ylber Ramadani (US Lecce), Juljan Shehu (Widzew Łódź); **napastnicy:** Nedim Bajrami (Rangers FC), Armando Broja (Burnley FC), Myrto Uzuni (Austin FC), Ernest Muci (Trabzonspor Kulubu). ©

Ligi zagraniczne. Przyzwoite występy wybrańców trenera Urbana. Powrót Milika

Damian Świdorski
redakcja@polskapress.pl

Powołani na mecze barażowe kadrowicze Jana Urbana, a także kandydaci do wyjazdu na finały MŚ z lig zagranicznych, w weekend rozgrali ostatnie przed przerwą na reprezentację spotkania.

W lidze niemieckiej z dobrej strony pokazał się Jakub Kamiński. Młody lider FC Köln był jednym z najlepszych graczy meczu z Borussia Mönchengladbach. Kolejny swój mecz w barwach Wolfsburga dostał przymierzany do występu między słupkami w meczach barażowych Kamil Grabara. We Włoszech grali niepowołani do reprezentacji Jakub Piotrowski i Arkadiusz Milik.

Dobre wieści od „Kamyka”

Kamiński wyszedł w podstawowym składzie FC Köln na pozycji numer 10, na której widzi go także Jan Urban. To ważne, bo musimy pamiętać, że w najbliższy czwartek zabraknie Nicolò Zalewskiego, który w meczu z Albanią 26 marca będzie pauzował za kartki. Köln przegrywało już w 1. minucie, ale sześcimi-

nut później, na tablicy wyników widniał wynik 2:1 dla klubu Polaka. W 7. minucie Kuba dośrodkował w pole karne, a Ragnar Ache nie dał szans bramkarzowi rywala. Kolończycy finalnie zremisowali z Borussia Mönchengladbach 3:3. Kamiński, poza asystą, oddał też celny strzał i imponował dryblingami: na cztery próby udało mu się trzy. Miał blisko 70-procentową skuteczność, jeśli chodzi o podanie do kolegów ustawionych w strefie obronnej rywala. Został jednym z najlepszych zawodników meczu, choć obejrzał żółtą kartkę - za niesportowe zachowanie. Rozegrał też 90 minut, co nie jest częstą praktyką, jeśli chodzi o typowo ofensywnych pomocników lub skrzydłowych.

Starania Grabary to za mało

W Bundeslidze zobaczyliśmy też Kamila Grabarę. Bramkarz VfL Wolfsburg jest faworytem do pierwszego składu reprezentacji Polski 26 marca w meczu barażowym przeciwko Albanii. „Wilki” - mimo wielkich starań Grabary - walczą o utrzymanie. W 27. kolejce Bundesligi Wolfsburg podejmował in-



Arkadiusz Milik kontuzji, po której nie grał niemal dwa lata, doznał w meczu reprezentacji z Ukrainą

nego giganta sprzed lat - Werder Brema. To był, niestety, następny mecz, w którym polski bramkarz nie był w stanie wszystkiego wyłapać. Wybronił dwa z trzech uderzeń Werderu, nie dał jednak rady przy strzale Justina Njinmaha w drugiej połowie. Grabara w obecnym sezonie zachował

tylko jedno czyste konto w lidze. Wolfsburg prezentuje się dramatycznie i nadal zajmuje 17., czyli przedostatnie miejsce w tabeli.

Arek czekał prawie dwa lata

W lidze włoskiej też grali Polacy, choć ci niepowołani

na mecze barażowe przez Jana Urbana. W sobotę wieczorem Juventus mierzył się z Sassuolo i drużyna Sebastiana Walukiewicza zabrała dwa punkty Starej Damie. W 79. minucie doszło do radoznego momentu dla oglądających to spotkanie Biało-Czerwonych. Na boisko, po niemal dwóch latach przerwy spowodowanej kontuzją, wszedł Arkadiusz Milik. Doznał jej w sparingu reprezentacji Polski z Ukrainą (3:1) na samym początku meczu. Milik pauzował aż 652 dni.

Zaledwie dziesięć minut po wejściu na boisko Arek mógł zostać bohaterem Juventusowi. Turek Kenan Yildiz dośrodkował w pole karne rywala, a Polak uderzył piłkę głową. Niestety dla naszego napastnika, bramkarz Arijanet Murić obronił strzał. Zarówno Milik, jak i Walukiewicz otrzymali średnie noty za swoją grę - po 6.3/10.

W Serie A 45 minut rozegrał także pomijany przez Urbana Jakub Piotrowski. Pomocnik, który dwa lata temu w barażach strzelił gola Estonii (5:1), wszedł na murawę zaraz po przerwie. Jego Udinese wygrało 2:0 z Genoą.

Piotrowski oddał jeden celny strzał, ale nie on cieszył

się z bramki. Na szczęście mógł się cieszyć z kolegami z bramki, bo oba gole padły po przerwie. Jakub został oceniony na 6.6/10. W meczu, z powodu kontuzji łydki, nie wystąpił drugi z Polaków - Adam Buksa.

WYNIKI W LIGACH TOP 5

Premier League:

31. kolejka: **Bournemouth - Manchester United 2:2, Brighton - Liverpool 2:1, Fulham - Burnley 3:1, Everton - Chelsea 3:0, Brentford - Leeds 0:0.**

Ligue 1

27. kolejka: **Lens - Angers 5:1, Toulouse - Lorient 1:0, Auxerre - Brest 3:0, Nice - PSG 0:4.**

Bundesliga

27. kolejka: **RB Lipsk - Hoffenheim 5:0, VfL Wolfsburg - Werder 0:1, Heidenheim - Bayer Leverkusen 3:3, Bayern Monachium - Union Berlin 4:0, FC Köln - Borussia Mönchengladbach 3:3, Borussia Dortmund - Hamburger SV 3:2.**

La Liga

29. kolejka: **Villarreal - Real Sociedad San Sebastian 3:1, Elche - Mallorca 2:1, Espanyol - Getafe 1:2, Osasuna - Girona 1:0, Levante - Real Oviedo 4:2, Sevilla - Valencia 0:2.**

Serie A

30. kolejka: **Cagliari - Napoli 0:1, Genoa - Udinese 0:2, Parma - Cremonese 0:2, AC Milan - Torino 3:2, Juventus - Sassuolo 1:1.**

©

Skoki narciarskie PS w Vikersund potwierdził problemy naszej kadry POLACY BEZ RADOŚCI Z LOTÓW

Artur Bogacki
redakcja@polskapress.pl

Za nami przedostatni w sezonie weekend z Pucharem Świata. W sobotnim konkursie lotów w Vikersund Polacy byli tylko tłem dla rywali.

Im bliżej końca sezonu, tym wyniki Polaków są gorsze. Po euforii z igrzysk nie ma już śladu. Nadzieja była w tym, że w tak lubianych przez skoczków lotach uda się przełamać ten trend, poczuć radość z dalekich skoków. Podczas dwóch pierwszych dni PS w Vikersund ta nadzieja została brutalnie stłamszona (niedzielne zawody zakończyły się po zamknięciu wydania).

Smutno było już w piątek. W kwalifikacjach odpadli nasi dwaj najlepsi w tym sezonie zawodnicy: trzykrotny medalista olimpijski Kacper Tomasiak (pewnym wy tłumaczeniem jest to, że to był jego pierwszy występ na mamuciej skoczni) i doświadczony Kamil Stoch. Pozostała czwórka awansowała, ale jedynie Aleksander Zniszczoł (16. miejsce) może być zadowolony. Pozostali byli daleko.

Przed konkursem trudno było o optymizm. A pierwsza seria potwierdziła, że nie jest dobrze. W kiepskim stylu odpadli Paweł Wąsek (35.), Maciej Kot (36.) i Piotr Żyła (37.). Do drugiej serii awansował tylko Zniszczoł, a jego 26. miejsce zwiastowało, że dla nas



20-letni Stephan Embacher w sobotę po raz pierwszy wygrał zawody Pucharu Świata

emocje w zasadzie się skończyły. W rundzie finałowej nasz zawodnik spisał się gorzej, spadł na 28. pozycję. To jeden z najgorszych wyników Polaków w całym sezonie PS - ledwie 3 punkty sześciuosobowej ekipy zgłoszonej do startu...

Show zrobili inni. W drugiej serii loty na ponad 235 m (najlepszy wynik Polaka to 206 m Zniszczoła) mieli zawodnicy, którzy nie są zaliczani do światowej czołówki. 235,5 m w drugiej serii zaliczył Słowak Hektor Kapustik, ostatecznie 13.

Walka o końcowe zwycięstwo była ciekawa i przyniosła

ważne rozstrzygnięcie. Wygrał 20-letni Stephan Embacher, dla którego to pierwsze w karierze zwycięstwo w PS. Szanse na nie miał już wcześniej, ale w drugiej serii czegoś brakło. Nie tym razem. Wytrzymał presję, obronił pozycję lidera po I serii. Pomogło też to, że jury ze względów bezpieczeństwa znacznie obniżyło belkę startową liderowi PS Domenovi Prevcowi. Słoweniec był 5.

W Vikersund rywalizowały także panie, po raz pierwszy wystąpiła Polka. Anna Twardosz nie dostała się do konkursowej „20”. W pierwszych

kwalifikacjach była 21. (172,5 m), w drugich - 24. (157 m).

W Pucharze Kontynentalnym w Zakopanem dwukrotnie wygrał Austriak Clemens Aigner. Najlepszym z Polaków był Dawid Kubacki - 4. i 6.

Sobotni konkurs PS w Vikersund: 1. Stephan Embacher (Austria) 459,1 (232 i 225 m), 2. Tomofumi Naito (Japonia) 446,8 (240 i 230 m), 3. Johann Andre Forfang (Norwegia) 443,7 (239 i 224 m), 4. Isak Andreas Langmo (Norwegia) 442,8 (229 i 232,5 m), 5. Domen Prevc (Słowenia) 439,2 (211 i 218,5 m)... 28. Aleksander Zniszczoł (Polska) 352,7 (206 i 199,5 m), 35. Paweł Wąsek (Polska) 157,9 (196,5 m), 36. Maciej Kot (Polska) 156,8 (193,5 m), 37. Piotr Żyła (Polska) 155,6 (196 m). ©

Słabe starty Polaków w sportach zimowych

Zbigniew Czyż
zbigniew.czyz@polskapress.pl

Aleksandra Król-Walas zajęła 13. miejsce w ostatnich w tym sezonie zawodach Pucharu Świata w snowboardowym slalomie równoległym w Winterbergu.

Najlepsza z Polek miała dziwny czas kwalifikacji, ale w 1/8 finału okazała się gorsza od Kanadyjki Kaylie Buck, z którą przegrała o 0,19 s. W kwalifikacjach odpadły Maria Bukowska-Chyc (34.) oraz Olimpia Kwiatkowska, która nie ukończyła przejazdu. Wygrała Włoszka Lucia Dalmaso. W rywalizacji mężczyzn nie poradzili sobie Oskar Kwiatkowski, który zajął 32. miejsce i Michał Nowaczyk (39.). Zwyciężył Koreańczyk Sangho Lee.

W klasyfikacji generalnej Król-Walas uplasowała się na dziewiątym miejscu, Bukowska-Chyc zajęła 26. pozycję, a Kwiatkowska 32. U mężczyzn, Kwiatkowski zakończył rywalizację w PS na 33. lokacie, Nowaczyk był 39. Kryształowe Kule zdobyli Japonka Tsubaki oraz Włoch Maurizio Bormolini.

W biegach daleko

Szwedka Linn Svahn wygrała w amerykańskim Lake Placid sprint techniką dowolną, zaliczyła do Pucharu Świata w biegach narciarskich. Polki zajęły odległe lokaty, odpadły już w eliminacjach. Karolina Kaleta była 43., a Andżelika Szyszka - 58. W biegu na 10 km stylem klasycznym, jedyna Polka w stawce Andżelika Szyszka zajęła 59. miejsce, triumfowała Szwedka Svahn. W biegu mężczyzn na 10 km stylem klasycznym, Dominik Bury, jedyny Polak w stawce 74 zawodników,

został sklasyfikowany na 65. miejscu, wygrał Johannes Klæbo. Kryształowe Kule za triumf w klasyfikacji generalnej cyklu już wcześniej zapewnili sobie Jessica Diggins i sześciokrotny złoty medalista igrzysk w Mediolanie Johannes Hoesflot Klæbo.

W biathlonie też przeciętnie

Szwedka Hanna Oeberg wygrała bieg na dochodzenie na 10 km w finałowych zawodach Pucharu Świata w biathlonie w Oslo-Holmenkollen. Najlepsza z Polek Natalia Sidorowicz zajęła 19. miejsce. Kamila Żuk była 33., Anna Mąka 35., a Joanna Jakieła 40. W rywalizacji na 12,5 km na dochodzenie wśród mężczyzn, Polacy nie wystartowali, gdyż bardzo słabo zaprezentowali się dzień wcześniej w sprincie. Jan Zawół był 72., Konrad Badacz - 80., Jan Guńka - 96. a Fabian Suchodolski - 100.

Wypadek Niewiadomej

Katarzyna Niewiadoma (Canyon-SRAM zondacrypto) uległa wypadkowi w końcówce klasyki kolarskiej Mediolan-San Remo. Wyścig wygrała Belgijka Lotte Kopecky (SD Worx-Protime), a piąte miejsce zajęła Dominika Włodarczyk (UAE Team ADQ). Włodarczyk finiszowała tuż za czołowymi zawodniczkami, ze stratą czterech sekund. Niewiadoma upadła na zjeździe z Cipressy, jednego z dwóch słynnych wzniesień wyścigu, ok. 25 km przed metą, a chwilę później wpadła na nią z dużą prędkością kolejne zawodniczki. W wyścigu mężczyzn, Filip Maciejuk zajął 92. miejsce, ze stratą blisko czterech minut, a Michał Kwiatkowski, nie dojechał do mety. Triumfował Słoweniec Tadej Pogacar.

Adam Godlewski

„Krótka piłka”



NIE ROZUMIEM ATAKU URBANA

Zarty się skończyły, nadszedł czas baraży. Jan Urban odkrył karty ogłaszając skład, którym - szczególnie - nie zaskoczył. Zawiedzeni mogą czuć się jedynie ci fani, którzy spodziewali się personalnej rewolucji i radykalnego odmłodzenia kadry; wystarczy jednak odrobina chłodnej głowy, aby ogarnąć, że to nie jest właściwy timing na rewolucję. Baraże, w których rozgrywa się po jednym spotkaniu, bez rewanżu, wymagają po prostu postawienia na sprawdzonych w dotychczasowych bojach żołnierzy. A nie na debiutantów.

Jedynym nowicjuszem jest Oskar Pietuszewski, ale to oczywiście także logiczny wybór. To przecież zawodnik, który

w ostatnim czasie - bez podziału na kategorie wiekowe - zrobił największy postęp wśród naszych rodaków grających w piłkę w najlepszych grach Europy. Iudowodnił - choćby w ligowym starciu z Benfiką w Lizbonie - że renoma rywala nawet na jego stadionie nie robi na nim żadnego wrażenia. Nabrał wręcz bezczelnej pewności siebie, zatem pierwsza reprezentacja w momencie walki o mundial to właściwe miejsce dla tego młokosa. Bo to już jest gość, którego stać na popis w decydującej akcji nawet w finale baraży.

Ktoś powie, że Bartosz Nowak jest dziś w znacznie wyższej formie niż Bartosz Bereszynski, Kamil Grosicki i Przemysław Wiśniewski razem wzięci. I... be-

dzie miał rację. Tyle tylko, że wspomniani w poprzednim zdaniu weterani mają doświadczenie z wielu reprezentacyjnych etapów - dobrych, ale także z zakrętów - a w odwodzie warto mieć właśnie takich zawodników, konkretnie w tych specjalnościach. Nowak nie konkurowałby na zgrupowaniu także z Wiśniewskim, który ma znacznie więcej występów w kadrze nie tylko od „Grosika”, ale szybko i udanie wpasował się do defensywnej układanki Urbana. Selekcjoner uznał po prostu, iż wśród ofensywnych pomocników przed barażami dysponuje zestawem lepszych, skrojonych na miarę jego pomysłu na grę piłkarzy od futbolisty GieKSy. I oczywiście - miał do tego prawo.

Zupełnie natomiast nie rozumiem, po co na odstrzał w sferze publicznej trener kadry - wraz asystentem z Jackiem Magierą - wystawili po powołaniach Sebastiana Walukiewicza. Nawet jeśli obrońca występujący we włoskim Sassuolo rzeczywiście nie odebrał połączenia od dyrektora

kadry, a potem nie oddzwonił. Bo to bardziej wskazuje na komunikacyjną nieporadność sztabu reprezentacji niż na wykroczenie zawodnika, który ma jakoś niezbędną do gry w kadrze, a przy słabszej dyspozycji Wiśniewskiego mógłby pewnie nawet z powodzeniem konkurować z nim o miejsce w wyjściowej jedenastce. Dziwny, naprawdę niezrozumiały jest w tym kontekście argument, że Walukiewicz „odmówił reprezentacji”. Zwłaszcza że całkiem niedawno urlop od kadry - podczas zgrupowania - brał Robert Lewandowski, co Urban szybko kapitanowi wybaczył. A i sam selekcjoner - jako piłkarz Osasuny - ma identyczny „wyskok” w CV. Po prawdzie zresztą, wywiady, których selekcjoner udzielił sporo po ogłoszeniu składu na baraże, to był najslabszy punkt powołań. Urban wyraźnie nie wytrzymał kondycyjnie tego medialnego maratonu i nie wybrzmiał przekonująco. O entuzjajzmie, za który tak bardzo jako kibice go polubiśmy, nie wspominając...



Aleksandra Król-Walas zakończyła sezon 2025/26

Przez rozpacz, ból i łzy do złota

Joachim Przybył

joachim.przybyl@polskapress.pl

HMS W TORUNIU - Przez rok praktycznie nie miałem życia - mówi Jakub Szymański, nasz mistrz świata na 60 metrów przez płotki.

Ten złoty medal Szymański czuł na szyi już od roku. Niemał dokładnie dwanaście miesięcy temu pojechał w świetnej formie do Nankinu. W Chinach potknął się jednak na płotku i nie było go nawet w finale. Wygrał Trey Cunningham, jego największy przeciwnik także w toruńskiej hali.

Dziś sopocianin przyznaje, że ciężar tej porażki dźwigał aż do soboty. - Zostałem wtedy z niczym, tylko z rozpaczą, brakowało mi energii, sport przestał mnie cieszyć. Powiedziałem sobie w duszy, że tylko złoty medal w Toruniu zaleczy ranę. Wyszło nawet lepiej, bo nie zdawałem sobie sprawy co to znaczy wygrać przy własnej publiczności. Naprawdę nie chciałem zawieść tych wspaniałych kibiców. To był najważniejszy start w moim życiu, największa presja, ale i największa radość - mówi nasz płotkarz.

W Kujawsko-Pomorskiej Arenie Toruń odniósł swoje dwunaste, trzynaste i czternaste z rzędu zwycięstwo w sezonie halowym. Biegał spokojnie, nie był najszybszy ani w eliminacjach, ani w półfinale, ale właśnie wtedy, gdy to było najważniejsze - w tym jednym biegu o złoto.

Szymański podkreśla, że finał od początku rozegrał na swoich warunkach. - Nie zostałem w blokach, wystartowałem z wielką energią. Cunningham się spał, chyba nawet się potknął, a ja zrobiłem lepszy rzut na metę, pilnowałem, żeby nie zrobić tego za szybko. Myślałem, że do złota będzie potrzebny rekord Polski, ale okazało się, że najlepiej zniósłem presję



Jakub Szymański: Nie miałem pojęcia, jak takie zwycięstwo smakuje w swojej hali

z wszystkich. Na mecie czułem, że mam medal. W niemal każdym biegu sezonu miałem dużą przewagę i wiedziałem, że jestem pierwszy. W Toruniu jednak czekałem na wyniki, złota pewnie nie byłbym - przyznaje.

Na mecie Jakub Szymański nie krył łez, chyba pierwszy raz w karierze. Utonął w ramionach taty i mamy. - Te wszystkie emocje i przeżycia z Chin musiały wypłynąć razem ze łzami. To nie było na pokaz, pozbywałem się w ten sposób 360 ciężkich dni, bo 360 razy myślałem o tym finale i układałem sobie ten bieg w głowie. To mi bardzo pomaga, przygotowuje ciało do tego, co trzeba zrobić. Za dwa lata do Indii pojadę jak szef, nie mam już nic do udowodnienia. Zaczynam teraz nowy rozdział w swojej karierze. Widocznie Chiny były potrzebne w moim życiu, bo nic tak dobrze nie uczy sportowca jak porażki. Przez chwilę po Nanki-

nie tej wiary w siebie trochę zabrakło, ale teraz jestem mocniejszy - podkreśla Szymański.

Jego inspiracją był w ostatnim czasie Deyron Robles, znakomity kubański płotkarz sprzed kilkunastu lat, który odpadł w mistrzostwach świata po upadku, a dwa lata później sięgnął po złoto. Szymański podkreśla, że tylko sportowiec wie, jak trudno poradzić sobie z takim rozczarowaniem.

- Lubię tworzyć sobie presję, choć na rozgrzewce przed finałem w Toruniu głowa mi prawie pękła. Ten medal to zastrzyk motywacji do dalszej pracy na wiele lat. Czasami to wszystko jest za mocne, zbyt intensywne, ale radzę sobie z tym, mam świetnych trenerów, a w zasadzie przyjaciół wokół siebie, im mogę powiedzieć wszystko, nawet rodzina nie wiedziała z czym się zmagalem przez ten rok - dodaje Szymański.

Z jego sztabem też jest ciekawy szczegół. Jest w nim także Maciej Ryszczuk, na co dzień trener przygotowania fizycznego Igi Świątek. Wydawało się, że zabraknie go w Toruniu, ale niespodziewanie nasza najlepsza tenisistka przegrała w Miami z Magdą Linette, Ryszczuk wsiadł więc w samolot i zdążył do Torunia na sam finał.

Co dalej? W hali Szymański zdobył już wszystko, przed rokiem był także mistrzem Europy w Apeldoorn. - Wracam do domu i chcę się wyspać w łóżku z psem. Wielkiego świętowania nie będzie, może wino w gronie przyjaciół i rodziny. Nie brakuje hejterów, którzy krytykują moje 110 metrów, ale to mnie nie rusza. Wiem, że to wymaga czasu, jestem młody, dziesięć lat biegania przede mną i nadejdzie ten moment, że będę hegemonom także na 110 metrów - obiecuje halowy mistrz świata.

Najpierw płacz, potem euforia. Brązowa sztafeta

Jakub Guder

jakub.guder@polskapress.pl

Brąz sztafety mieszanej w Toruniu! Rekordu świata nie poprawił Mondo Duplantis. Zrobił to w siedmioboju Szwajcar Ehammer.

Sztafeta mieszana 4x400 m w Toruniu debiutowała podczas halowych mistrzostw świata. Wiele obaw było już przed startem. Sześć drużyn, krótka prosta, mało miejsca, a do tego mieszanka silnych fizycznie mężczyzn i słabszych sprinterek. Prosiło się o katastrofę.

No i doszło do niej już na pierwszej zmianie, kiedy Kajetan Duszyński przekazywał bieg Annie Gryc. Upadła Amerykanka, za nią Holender, który jeszcze trzymał pałeczkę, a na dodatek wpadł na Duszyńskiego. Z przodu na szczęście była już Polska - na trzecim miejscu. Ekipa USA już się nie liczyła.

Biało-Czerwoni do końca walczyli z Jamajką i mocną Hiszpanią. Gdy do ostatniej zmiany ruszyła Justyna Święty-Ersetic, miała kilka metrów straty do tej dwójki, ale szybko to odrobiła. Niestety, zabrakło mocy na finiszu, chociaż nasza doświadczona sprinterka i tak miała najlepszy czas w czwartej grupie zawodniczek. Medalu nie było - tak się przynajmniej wydawało. Najgorsze, czwarte miejsce. Po Polakach było widać rozczarowanie.

Gdy w strefie mieszanej dziennikarze czekali na Biało-Czerwonych, Anna Gryc przebiegła szybko mówiąc tylko: „Składamy protest!”. Po kilku minutach ktoś rzucił, że Jamajka została zdyskwalifikowana. Chodziło o złe ustawienie podczas zmiany. To oznaczało, że mamy pierwszy medal podczas tych mistrzostw. Justyna Święty-Ersetic zaczęła krzyczeć z radości. Chwilę wcześniej miała łzy w oczach.

- Od łez rozpacz i smutku po łzy szczęścia. Coś wspaniałego! - cieszyła się Święty-Ersetic. - Chciałabym jednak wrócić z całą drużyną tam na dół, do hali i cieszyć się razem z naszymi kibicami - dodała.

Kibice w Toruniu oczekiwali, że w sobotę zobaczą rekord świata. No i zobaczyli, ale nie ten, który się spodziewali. Rekordzistą w siedmioboju (6670 punktów) został Szwajcar Simon Ehammer, który dostał za to czek na 50 tys. dolarów. Chociaż w konkursie tyczkarzy Armand Duplantis nie poprawił najlepszego wyniku na świecie, to jednak fani lekkoatletyki musieli być zadowoleni z poziomu konkursu. Szwed oczywiście wygrał (6.25 - rekord mistrzostw). Srebro dla Greka Karalisa (6.05).

Dobrze zaprezentowała się Ewa Swoboda, która w finale sprintu na 60 m zajęła szóste miejsce, wyrównując najlepszy wynik w tym sezonie (7.07). Wygrała Włoszka Zaynab Dosso (7.00). Najszybszym sprinterem okazał się 21-letni Amerykanin Jordan Anthony (6.41).

HMS lekkoatletyce - 4x400 sztafeta mieszana: 1. Belgia 3:15.60; 2. Hiszpania 3:16.96; 3. Polska (Duszyński, Gryc, Karolewski, Święty-Ersetic) 3:17.44; 4. Holandia 3:20.14; 5. USA 3:21.35. ©️



Armand Duplantis - jego rekord świata to dziś 6.31

Bukowiecka była pierwsza, ale z radością musiała poczekać. Ma srebrny medal

Jakub Guder

jakub.guder@polskapress.pl

Natalia Bukowiecka została halową wicemistrzynią świata w biegu na 400 m. Paradoksem polegał na tym, że metę przekroczyła jako pierwsza.

Jak absurdalne są tegoroczne zasady halowych mistrzostw świata w biegu na 400 m pokazał finał mężczyźni. Amerykanin Chris Robinson wygrał pierwszy bieg finałowy, ale i tak nie zdobył

medalu. W tym roku finały mamy bowiem dwa, a o ostatecznej klasyfikacji decydują po prostu czasy. Trzech zawodników w finale drugim było lepszych od reprezentanta USA.

Na szczęście w przypadku pań ta sytuacja się nie powtórzyła. Natalia Bukowiecka biegła w pierwszym finale. Ściagała się z Holenderką Lieke Klaver. Długo była za jej plecami, ale na finiszu ją wyprzedziła, wyrównując przy tym rekord Polski (50.83). Potem obie usiadły na specjalnych, zielonych pufach

ustawionych w pobliżu mety, by obserwować drugi bieg i czekać, co się wydarzy. Tam szybsza była Czeszka Lurdes Gloria Manuel.

- To było mega dziwne. Niby wiedziałam, że powinien być ten medal, ale różne rzeczy się dzieją. Tam też były mocne zawodniczki. Nie wiedziałam, czy to będzie złoto, srebro czy brąz. Brakowało mi tego medalu w hali. Trochę zeszło ze mnie ciśnienie. Powiedziałam sobie, że to będzie prawdopodobnie mój ostatni start w halowych mistrzostwach świata. Dlatego bar-

dzo chciałam stanąć na podium - powiedziała po wszystkim Bukowiecka. - Lieke Klaver nie wiedziała, czy ma medal. Nie wyświetliło nam się nazwisko Henriette Jaeger. Nie wiedziałyśmy, co się stało. Lieke myślała, że zapomnieli Norweżki dopisać - tłumaczyła nasza sprinterka zamieszanie, jakie powstało na mecie.

- Wiedziałam, że rywalki w drugim biegu szybko zaczęły i może być dobry wynik, ale też zdawałam sobie sprawę, że mogą się pogubić, bo tak bywa,

kiedy początek jest mocny. Widać było jednak, że Czeszka jest świetnie przygotowana. Żałuję tylko, że nie biegłyśmy razem. Myślę, że to się mogło wtedy inaczej potoczyć. Nie wiem oczywiście, czy bym wygrała, ale miałam na końcu jeszcze siły i wydaje mi się, że w bezpośredniej rywalizacji mogłabym powalczyć o złoto. No oczywiście mogłabym równie dobrze być bez medalu, ale wszystko byłoby bardziej przejrzyste i satysfakcjonujące - logicznie zauważyła świeżo upieczona wicemistrzyni

świata, która celnie stwierdziła, że zabiera się też trochę radości na mecie zwycięzcy.

Pojawienie się Natalii Bukowieckiej wywołało euforię na trybunach. Była chyba najbardziej wiwatowanym polskim sportowcem w Arenie Toruń, która w sobotni wieczór wypełniła się do ostatniego miejsca.

HMS lekkoatletyce - 400 m kobiet: 1. Lurdes Gloria Manuel (CZ) 50.76; 2. Natalia Bukowiecka (POL) 50.83 - wyrównany rekord Polski; 3. Lieke Klaver (NED) 51.02; Wadeline Venlogh (HA) 51.07. ©️



Daria Abramowicz (po lewej), psychologka Świątek, nie potrafi znaleźć sposobu na poprawę mentalu Igi

Tenis Pierwszy trener Świątek analizuje przyczyny kryzysu Polki. Tak zlej passy Iga nie notowała od momentu, gdy weszła na szczyt

Zbigniew Czyż
zbigniew.czyz@polskapress.pl

Iga Świątek sensacyjnie szybko pożegnała się z turniejem w Miami, odpadając już w drugiej, a dla siebie pierwszej rundzie. Rozmawiamy z Arturem Szostaczko, jej pierwszym trenerem.

Co się dzieje ze Świątek? Coraz bardziej jej nie poznajemy. Frustracja na korcie, błędy, chimeryczna postawa...

To nie jest tak, że Iga zapomniała, jak się gra w tenisa. Ja cały czas twierdzę, że główny powód takiego stanu rzeczy to sfera mentalna. Gdy w meczu w Indian Wells z Murchową wszystko się układało, widać było u Igi spokój, pewność siebie - zagrała wtedy jedno z najlepszych spotkań w tym sezonie. I teraz pojawia się pytanie: dlaczego nie była w stanie powtórzyć tego na drugi dzień w pojedynku ze Switoliną? I tutaj cały czas wychodzi ten sam problem.

Dokładnie jaki?

Trener Igi odgrywa w jej sztabie drugie skrzypce. Nie może być tak, że osoba, która odpowiada za wyniki tenisistki, jest w drugim rzędzie, a w pierwszym jest pani Daria Abramowicz, która chce zarządzać, zarządza wszystkim i ma na to przyzwolenie. To zachowanie Igi, gdy skierowała do swojego boksu słowa, że grała na od-

Największy kryzys w karierze Igi Świątek. Posypała się mentalnie

wal się, jest dla mnie całkowicie niezrozumiałe. Co to miało znaczyć? Że Iga chciała zrobić komuś na złość, czy miała zły dzień i jej się nie chce?

Te słowa usłyszał cały świat.

I to nie jest tak, że my sobie coś wymyślamy. To są słowa Igi, z którą musi się dziać coś złego. To tak jakby powiedzieć: „Zarobiłam w turnieju 500 tysięcy i teraz gram na odwal się?”. Nie wypada wręcz byłej liderce rankingu wypowiadać takich słów. Jest wybitną tenisistką i dlatego musi się też adekwatnie do swojego statusu zachowywać.

Świątek nie wygrała żadnego turnieju już od września ubiegłego roku. Słabo zaprezentowała się w Australian Open czy turnieju w Dosze.

Idze brakuje wiary w siebie, poza tym ona nie ma spokoju i to przekłada się na wyniki. Wykrzykiwanie pani psycholog do tenisistki i tak samo w drugą stronę to jest jakiś absurd.

Świątek nie radzi sobie z tenisistkami z czołowej dziesiątki rankingu. Przegrała z nimi pięć ostatnich spotkań, a w ostatnich piętnastu meczach pięć wygrała i aż dziesięć przegrała.

To nie jest tak do końca, że przegrywa tylko z tymi najlepszymi, bo niedawno uległa też Sakkari, a później „mamie” Switolinie. Iga nie radzi sobie z zawodniczkami, które grają płasko i szybko.

U Świątek widoczny jest też brak regularności. Nie potrafi

jak dawniej wygrać kilku meczów z rzędu, prezentując w każdym z nich równą i dobrą formę. Co jest tego przyczyną?

Świątek jest dużo lepsza od większości zawodniczek i jeśli tylko byłaby pewna siebie, to powinna wygrywać bez problemów.

W ćwierćfinale turnieju w Indian Wells, przegranym przez Świątek z Eliną Switoliną, widzieliśmy okrzyki psycholożki Świątek Darii Abramowicz.

Artur Szostaczko: Zostaliśmy zbiczeni przez Tomasza Świątkę. A Iga w ogóle w tenisa mogła już nie grać...

wicz w kierunku Igi. Coś złego dzieje się w ich współpracy?

Jako były zawodnik mogę powiedzieć, że gdy jest się na korcie poirytowanym własną grą, to pojawia się między zawodnikiem a sztabem swoisty mur. Nie słyszy się wtedy, co oni do mnie mówią, bo jest się na siebie tak bardzo złym i sfrustrowanym. Każde słowo wypowiedziane więcej z boksu potrafi jeszcze bardziej zirytować. I to się dzieje teraz u Igi. Jej pani psycholog powinien ją umieć wyciszyć, ale nie jest w stanie tego zrobić, bo sama dolewa oliwy do ognia.

Wydaje się, że strefa mentalna nie powinna być problemem Polki. Jako jedyna w turze, jak sam Pan niedawno powiedział w rozmowie ze mną, ma niemal cały czas opiekę swojej psycholożki Darii Abramowicz.

Szkoda mi Igi. Muszą znaleźć jakiś sposób, jak sobie z tym poradzić. Wydaje mi się, że powinni poszukać jakiegoś innego rozwiązania - może odpocząć od siebie przez tydzień? Może funkcjonować na zasadzie: tydzień się nie widzimy, potem znowu się spotykamy, i tak co drugi turniej? Nie będę jednak doradzał trzeciej tenisistce świata, co ma robić. Jeżeli jej to pasuje, to niech to robi.

Tyle tylko, że przyzwyczała nas do świetnych meczów i wygrywania seryjnie. A to się właśnie ucięło...

I to mnie boli, bo rozmawiamy o Idze Świątek, która według mnie jest w stanie wciąż wygrywać seryjnie i zwyciężać turniej po turnieju, ale na ten moment nie potrafi swoich umiejętności przełożyć na kort.

Może już czas, by Świątek zmieniła psychologa?

Nie mówię tego, że musi zmienić. Swoją drogą, według mnie, ten psycholog jest nie do ruszenia ze sztabu do końca jej kariery. Podkreślę jeszcze raz, że może powinny sobie dawać między jednym a drugim turniejem czas na odpoczynek od siebie, żeby spróbować innego rozwiązania i zobaczyć, czy mi to służy, czy nie. To są jednak dorośli ludzie, każdy z nich odpowiada za swój zawód, więc ja im nie będę doradzał.

Za słowa odnośnie współpracy Świątek i Abramowicz oberwało się niedawno panu i autorowi podcastu „Trzeci Serwis” Lechowi Sidorowi ze strony ojca Igi, który napisał, że się Pan nie zna.

Zostaliśmy zbiczeni przez ojca Igi, Tomasza, który chyba nie rozumiał naszego przekazu. Jestem dyplomowanym i wykształconym trenerem. W Niemczech w ciągu kilku lat

zdobyłem wszystkie stosowne uprawnienia, które każdy trener tenisa powinien zrobić. Sam też grałem w tenisa. Nie rozumiałem za bardzo jego wypowiedzi: czy chodziło o to, że jesteśmy psami, które nic nie potrafią? Zapomniał, że jego córka dzięki mnie gra dziś w tenisa.

Czuje się Pan urażony?

Co prawda nie grałem w turniejach rangi ATP, ale wtedy były inne czasy, o których pan Tomasz może zapomniał. Doceńiam ten czas, że mogłem grać w Bundeslidze i wykształcić się na trenera. Całe życie poświęciłem tenisowi, wychowałem wielu zawodników. Nie rozumiem tej agresji z jego strony, bo nikt źle Idze nie życzy. Mamy prawo do tego, aby porozmawiać i wyrazić swoje zdanie na temat gry Igi. Nikogo nie obraziłem, ale uważam, że my zostaliśmy obrażeni. Myślę, że Tomasz jest świadomy tego, że zachował się źle i poniżej pasa.

Podobno otrzymał Pan wsparcie od wielu ludzi z tenisowego środowiska z całego świata.

Pisali do mnie ludzie z Monachium, Majoroki czy Malagi, ale nie chcę nawet cytować tego, co mi pisano na temat tych słów Tomasza Świątkę. Każdy musi się zastanowić, jak wypowiada się publicznie, i myślę, że też publicznie powinien nas za te słowa przeprosić. Zrobił jak zrobił i dla mnie temat jest zamknięty, ale osoba publiczna nie powinna się w taki sposób wypowiadać. Nie jestem kimś spod budki, nie jestem środowisku tenisowemu od wczoraj. Szkoda tylko, że zapomniał o tym, dlaczego jego córka w ogóle gra dziś tenisa. Jego córka dzięki mnie gra dziś w tenisa.

Mocne słowa.

Iga była moją podopieczną w Warszawiance przez cztery lata. Po roku treningów, gdy miała około siedmiu lat, Tomasz zadzwonił do mnie i powiedział, że ich nie stać na dalsze zajęcia, a miałem też pod opieką siostrę Igi, Agatę. Tomasz chyba zapomniał, że ten dziś zły trener, czyli ja, po tamtej rozmowie załatwił w dwie godziny sponsora na kilka lat i że Iga oraz Agata trenowały ze mną przez kolejne trzy lata. Gdy się rozstaliśmy, mieli tego sponsora jeszcze przez około rok, gdy już przenieśli się na Merę. A potem była Legia, ale tę dalszą historię chyba wszyscy znają. Więc tak naprawdę nie wiem, czy dziś byłby w ogóle temat Igi Świątek i jak dalej to wszystko by się potoczyło, bo Iga w ogóle w tenisa mogła dalej nie grać... ©©

MAGAZYN

SPORTOWY24

Za nami udane i świetnie zorganizowane halowe mistrzostwa świata. W Toruniu nasi reprezentanci skutecznie walczyli o medale STR. 22



FOTSLAWOMIR KOWALSKI/POLSKA PRESS.

Bezkonkurencyjny Jakub Szymański!

**KADRA JANA URBANA
JUŻ W CZWARTEK
ROZEGRA BARAŻOWY
MECZ Z ALBANIĄ
STR. 20**

**Puchar Świata
w Vikersund
potwierdził problemy
naszej kadry skoczków
STR. 21**

**Pierwszy trener Igi
Świątek komentuje
największy kryzys
w karierze tenisistki
STR. 23**